MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 16 WARSZAWA 9 KWIETNIA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

O CENĘ DUCHA I KRWI

NIEMCY łączą się z Austrią! Niemcy anektują Sudety, bo państwo Czechosłowackie, obmurowane żelazobetonem, najeżone bagnetami, dygoczące już od tysięcy zapuszczanych silników samolotowych — to małe państwo owładnął strach, opuścili je przyjaciele i wydali na nie zaoczny wyrok do spółki z wrogami... Niemiec idzie dalej („on wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele"), podbija Czechy, obejmuje protektorat nad Słowacją, wydziera Litwie kraj Kłajpedzki — a sejm w Kownie ratyfikuje to, jako „układ" — w grobowem milczeniu i z zaciśniętemi zębami... Prasa III Rzeszy rozpoczyna uwerturę: głosi przed światem, że mniejszość niemiecka w Polsce ledwo zipie, krzywdzona coraz bezwzględniej; pojawiają sie pierwsze sygnały nadchodzącego spisu ludności w Rzeszy, który ma ustalić, że Polaków w Niemczech jest znacznie mniej, niż Niemców w Polsce. Szykują się przesłanki do wniosku, że trzeba tę różnicę jakoś wyrównać...

Polska w odpowiedzi szykuje o wiele mocniejsze argumenty — i jak się okazuje, zapewne wystarczające, przy pomocy bojowych decyzyj brytyjskich i francuskich, do powstrzymania rozpędu Niemców...

Na ulicach niemal codzień gazeciarze alarmują tłumy — o nadzwyczajnych dodatkach. W aparatach radiowych dźwięczą marsze żołnierskie i rozlegają się słowa polityków, głoszone z ewangelicznym spokojem albo z siłą rozkazu. W ekrany tysięcy kin patrzy milionowa publiczność — z trwogą i dumą, z niepokojem i entuzjazmem, z męstwem, i bojaźnią — na wojsko, maszerujące zimno i twardo, na pochody bagnetów i hełmów szturmowych, których cień zamienia oczy w oczodoły, na czołgi, samoloty, pancerniki i działa — i cylindry ministrów w salonkach. I na zmartwychwstawanie wielkiej Hiszpanii z popiołów ludzi, oblewanych benzyną i palonych w piwnicach, z potrzaskanych czaszek dzieci, z pokrajanych zwłok zakonnic, z kościołów zamienionych w zamtuzy i kloaki, z bezcennych dzieł sztuki, niszczonych ogniem i obcasem.

Przygląda się publiczność płonącym miastom chińskim i ich mieszkańcom, uciekającym, jak dzikie zwierzęta przed pożarem lasu.

Takie są najważniejsze sprawy naszych czasów, sprawy życia i śmierci narodów. Glob ziemski wiruje coraz szybciej w oparach krwi, które powstają i znikają, tak, jak to widziały rozszerzone do kosmicznych rozmiarów oczy autora „Nieboskiej komedii..."

W nieprzerwanym ciągu tysiącleci narastają biologiczne siły ludzkości i ważą się losy ludów. Nic nie przerywa od wieków świadomej pracy rządów, koncentrujących w swych rękach najsilniejsze węzły społeczne i budujących — dobrze, albo źle, najważniejsze wiązania kultury. Nie było, w gruncie rzeczy, takich rewolucyj i wojen, któreby na dłuższy czas przeszkodziły pracy sztabów wojskowych. Ciągle, niezmordowanie, od czasów starożytnego Babilonu i Egiptu aż po chwilę dzisiejszą krzewią się w łonie ludzkości, jak drożdże i toksyny, tajne organizacje polityczne, religijne, gospodarcze i wojskowe — najbardziej wyrafinowane narzędzia rywalizacji i walki narodów o byt i dobrobyt, o niepodległość i panowanie.

*

Takie są wielke dążenia ludzkie, które znajdują ilustracyjne odbicie w refleksji naukowej: w atlasach politycznych i w podręcznikach historii.

Czyż mamy temu aspektowi bytu rodzaju ludzkiego p r z e c i w s t a w i ć religię, jej działanie, jej ideał, jej świat?

Boga określamy, jako przeciwstawienie niedoskonałości ziemskich. Wierzymy w akt stworzenia; Ten, co stwarza, nie może być tem, co zostało stworzone. Ale już tu, u samego źródła pojęć religijnych, nadziewamy się, jeśli tak się można wyrazić, na przeciwstawienia, na paradoksalne zagadki, które rozum odgaduje i potwierdza prze-

świadczeniem, ale których jasno sobie przedstawić nie umie.

Z tej dziedziny poglądów zapewne zrodził się pogląd prof. Wł. Witwickiego, że istotą religijności ludzi oświeconych jest przeżywanie sprzeczności. Bo oto Stwórca nie jest stworzeniem, ale stworzenie należy do Niego i odpowiada Jego naturze. Zjawisko świata jest uwarunkowane nieustannie działającą przyczyną, która je wytworzyła. Świat został stworzony, ale również jest stwarzany wciąż; w Bogu wszystko się już stało, a jednocześnie wszystko się staje...

Bóg jest ciągłym czynem i wiekuistym spokojem... Wyczuł to mistyk Słowacki, pisząc w „Królu Duchu": On sam wypełnia mnie, naturę małą — Chrystus, który był piorunem i skałą!

Dziecinne pojęcia religijne, w jakich tkwi dotąd polska warstwa oświecona, umieszczają Boga „na niebie", które to miejsce określa się palcem wskazującym, skierowanym pionowo do góry.

Brak nam poczucia obecności Boga nie tylko poza naturą, ale i w naturze, nie tylko poza człowiekiem, ale i w człowieku. Zaświecie przenika świat. To co jest nadnaturalne, właśnie dlatego, że jest nadnaturalne, nie może istnieć obok tworów natury, ale jest racją istnienia tej natury, jej przyczyną i w każdym momencie towarzyszy każdemu jej zjawisku.

Niektórzy święci, jak np. św. Franciszek z Assyżu, mieli b. wyraźne poczucie tej powszechnej obecności Bóstwa, jako siły, podtrzymującej istnienie. Harmonizują z tem pojęciem słowa Pawła apostoła: cokolwiek czynicie, czyńcie na chwałę, Bożą.

Człowiek, obdarowany wolną wolą i obciążony dziedzicznie grzechem, czerpie siły Boskie nie tylko z natury, ale i bezpośrednio, jako łaskę, którą szafuje Kościół. Bierze człowiek udział w dziele stworzenia, choćby o tem nie wiedział i tego nie chciał, jako *homo sapiens*, cząstka świata materialnego i fauny ziemskiej. Bierze także udział świadomy i samodzielny, jako istota posiadająca rozum i wolę. Czują czasem to posłannictwo i traktują swe życie, jako jego spełnianie, bohaterscy misjonarze i żołnierze, wielcy politycy i społecznicy, genialni odkrywcy i uczeni, natchnieni poeci i artyści.

Każdy świadomy wysiłek człowieka każde jego dzieło ma rację bytu, którą jest byt wyższy, nadprzyrodzony. Im silniej rządzi nami łaska, tem wspanialej będą wyglądać nasze konkretne działania. „Beze mnie nic uczynić nie możecie". Największe dzieła organizacji politycznej, myśli naukowej, apostolstwa, sztuki — powstawały wtedy, kiedy je tworzono, jako uboczny produkt służby — dla idei wyższej, niż samo choćby najdoskonalsze, dzieło, dla ideału ważniejszego, niż sam, choćby największy, człowiek. Wszelkie dzieła, w innym duchu poczęte, mogą mieć tylko pozory wielkości. Są bowiem pozbawione duszy, dźwigni, racji istnienia. Najlepsza recepta wszelkiej twórczości brzmi: szukajcie najprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego a wszystko inne będzie wam przydane...

Kultura, na którą się składa dorobek przeszłości i praca żyjących pokoleń, jest wynikiem współdziałania łaski z przyrodzonemi zdolnościami ludzi. Niszczył ją egoizm, budowała ją bezinteresowna służba.

Te cywilizacje były wielkie i żyły długo, które miały wybitnych ludzi, umiejących ograniczać dbałość o siebie tylko do doskonałości moralnej i ulepszenia techniki i warunków swej działalności.

Dziś w wielkich państwach świata, nawet wśród nienajgorszych chrześcijan, przeważa typ człowieka, który chce uświęcać bliźnich przez ubóstwo, sam natomiast uważa, że jemu by komfort nie przeszkadzał do zbawienia duszy. To przekonanie osłabia twórczość, obniża typ cywilizacji i nie przygotowuje nigdy narodu do wielkich zadań.

Zajrzyjmy w oczy tak często bezmyślnie powtarzanemu postulatowi objęcia wiarą całego człowieka. Wiara jest wiedzą i działaniem. Jako wiedza zasila wszelkie dziedziny poznania i wszelkie dyscypliny naukowe — i jest niemi wzajemnie zasilana; jako działanie uzupełnia i ożywia wszelką pracę ludzką—nietylko apostolską i kościelną, ale i tę, która składa się na technikę, sztukę, akcję społeczną i politykę, czyli na całą kulturę. I całą tą kulturą „świecką" wiara jest wzajemnie uzupełniana i ożywiana. Wiara ma pobudzić wszelkie dziedziny życia narodu. Wielką Polskę mogą stworzyć tylko Polacy wielkiej twórczości, czyli silnej wiary. Obowiązkiem katolika jest także tworzenie dobrobytu gospodarczego — tylko oczywiście nie dla siebie. Obowiązkiem jest także rozwijanie siły politycznej i wojskowej, tylko, oczywiście, nie dla czczej ambicji i prywatnej korzyści sztabów i polityków. Postawa aktywna i ofiarna jest postawą katolicką. Dzięki niej w istocie Hiszpanie pokonali rewolucję komunistyczną. Dzięki niej Rzesza Niemiecka zatrzymała się na granicach Polski. Rozwój pewnych elementów postawy heroicznej, wynikających w gruncie rzeczy z chrystianizmu, stał się podwaliną potęgi pewnych dziedzin życia narodu niemieckiego.

Tak samo zaniedbanie innych elementów chrystianizmu stać się może przyczyną upadku Rzeszy.

*

Chrystus na krzyżu jest symbolem bohaterstwa chrześcijańskiego, jest wzorem służby dla ludzi.

Chrystus zmartwychwstający to dowód, że Bóg rządzi stworzeniem, że łaska jest siłą twórczą, że najkrwawsza ofiara prowadzi do najwyższej chwały.

TADEUSZ DWORAK

W dzień Zmartwychstania Pańskiego wydawnictwo „Myśli Narodowej" składa przyjaciołom pisma, współpracownikom swoim i wszystkim czytelnikom życzenia

WESOŁEGO ALLELUJA!

O „NOWE ŚREDNIOWIECZE"

BARRÈS, będący trwałą wartością w piśmiennictwie francuskiem określa nacjonalizm przez podobieństwo do sztuki malarskiej, sprowadzając obie te rzeczy do umiejętności zajmowania właściwego (koniecznego) punku widzenia. Myśl tę ilustruje Barrès zdaniem: „Corot, to człowiek, który wie jak usiąść" *(Corot, c'est un homme qui sait s'asseoir)*. Corot wie jak ma usiąść jako malarz. I dlatego, że znany mu jest sekret siadania we właściwem miejscu, jest tak znakomitym malarzem. Tak samo musi wiedzieć jakie ma zająć stanowisko w każdej sprawie — nacjonalista. Świadomość istnienia takiego jednego, stałago i koniecznego punktu widzenia wobec spraw życia zbiorowego danego narodu i wola orientowania się według niego w działaniu politycznem jest to właśnie nacjonalizm.

Definicja Barrèsa daje jednocześnie określenie nacjonalisty. Będzie nim ten, kto jak Corot, będzie umiał zająć w każdej sprawie, wobec każdego zjawiska społecznego to jedno jedyne, właściwe nacjonalistyczne, stanowisko.

W polityce jednak, jak w malarstwie, wielu jest „usiłujących", ale niewielu „mogących". Dlatego w obu tych gałęziach działalności tak mało dzieł, a tak dużo „kiczów". Ubóstwo to tłumaczy się najczęściej brakami, względnie — naodwrót — przerostami techniki. Przeważnie temi ostatniemi. W tem bowiem wypadku technika zapanowuje nad artystą, który staje się jej niewolnikiem. Dzieje się to wtedy zwłaszcza, gdy technika — ta „erudycja" artysty—przerasta jego możliwości artystyczne.

Największa nawet erudycja nie zwalnia nikogo od wkładu własnego wysiłku twórczego w to, co stanowi przedmiot jego dociekań lub usiłowań artystycznych, I nie wszystko „własne" musi być z konieczności złe, o ile nie postaramy się znaleźć dlań oparcia w „autorytecie". Życie umysłowe stałoby się nieskończenie smutne, gdyby polegać miało tylko na komentowaniu uznanych „wielkości". Zresztą z „wielkościami" różnie bywa. Lew Tołstoj w „Wojnie i pokoju" starał się odrzeć postać Napoleona z wszelkiego uroku i siły moralnej. Dziś sam Tołstoj oceniony jest jako wielkość negatywna. Spór o to, czy Napoleon był lub nie był wielki, byłby sporem niepoważnym. *„Aleksandr Makiedonskij był wielikij człowiek, na zacziem-że stulja łomat'"* — powiadają Moskale i mają rację. Ważnem jest to, że Aleksander Macedoński, jak Napoleon, był, że zaważył na biegu dziejowych wydarzeń. Fakt sam jest ważny.

Nasza wrodzona skłonność do wydawania sądów wartościujących jest cechą wybitnie „ideopolityczną". Tak oceniamy ludzi, czynnych w życiu publicznem i postacie historyczne, jak wypada z zajmowanego przez nas, subjektywnego stanowiska ideowego. Niekiedy w ocenach naszych kierujemy się już nie takiemi czy innemi względami ideowemi, ale uprzedzeniami, sympatiami i antypatiami, częściej temi ostatniemi.

Napoleona można lubić lub nie lubić, ale nie jest powiedziane, że ze stanowiska nacjonalizmu trzeba go potępić. Prawda, miał on wiele grzechów antynacjonalistycznych na sumieniu. Był np. masonem i dzięki masonerii wszedł na drogę zawrotnej kariery osobistej i dziejowej. Lecz przecież i jego poprzednik na tronie Francji, Ludwik XVI, Burbon i Capetyng, także był masonem (skromnym, posłusznym, cichym masonem 7-go stopnia — coś jak Stanisław August Poniatowski), a jego krewny Philippe Egalité był nawet wielkim mistrzem masonerii francuskiej. Powtóre, Napoleon, doszedłszy dzięki masonerii do godności cesarza i w pełni świadomości roli masonerii, zapragnął ją okiełznać, sobie podporządkować. Przeliczył się co do swych sił. Masoneria wygrała w tej walce. Wygrała „stawiając" na przeciwnika Napoleona, także masona (z masonnrii typu mistycznego) Aleksandra, cesarza Rosji. Nastały czasy „Świętego Przymierza", które było przymierzem masonerii („prawicowej", „religijnej", wielko-lożowej) z *ancien-régim*'em i katolicyzmem (*„politique de la main tendue"* — historia się powtarza!). Nie tylko Metternicha było ono dziełem, ale i Talleyranda, masona wysokich świateł, patrona zarówno wyniesienia jak i upadku Napoleona.

Niewątpliwie okres Napoleona, to okres „ratowania" załamującej się rewolucji przez nadanie jej form pseudo-legalnych, ale to również—okres opanowywania żywiołu rewolucyjnego, przetwarzania negacji w afirmację, okres budowy na gruzach. A cóż dał Francji i Europie okres następny: Metternichowsko - Talleyrandowski? — Złudę rzekomego powrotu do tradycyjnych zasad polityki, nawrót do najgorszych, najbardziej nieistotnych, zewnętrznych form *ancien-régim*'u, najdalej idący centralizm ustrojowy. Napoleon był „imperatorem rewolucji". Nie lepiej jednak wyglądała rola jego następców z okresu Restauracji, królów Ludwika XVIII-go i Karola X-go. Byli to „królowie republiki". Nie zdołali oni odwrócić biegu historii: Francja nie przestała być pod ich rządami Francją egalitarną i centralistyczną, to jest taką, jaka wyszła z tygla rewolucji. Po dziś dzień Francja „wyżywa się" w egalitaryzmie i centralizmie.

I tu dochodzimy do sedna zagadnienia ustrojowo-politycznego naszych czasów.

Rewolucja zburzyła stary porządek we Francji (i w całej Europie), który stanowiła przekazana przez średniowiecze niezwykle złożona struktura terytorialna i socjalna, powstała w ciągu kilku wieków w sposób organiczny i naturalny. Częściowo ta struktura była już w XVIII wieku przestarzała i nadawała się do przebudowy. Rewolucja jednak nie poszła po linii przebudowy, lecz zniszczenia. Stała się wielkiem przedsięwzięciem niwelacyjnem — w pionie i poziomie: zniosła zwobody samorządowe prowincyj, oraz swobody stanowe i korporacyjne.

Napoleon utrzymał charakter centralistyczny państwa, jednak — wbrew duchowi czasu i własnej „jakobińskiej" przeszłości — wykazał zrozu-

mienie dla czynnika kostrukcji, narzucając Francji i Europie nie najlepsze może, ale wybiegające poza „demokrację równościową i wolnościową” formy ustrojowe. Czasy po-napoleońskie pogorszyły jeszcze ten stan rzeczy pod względem strukturalnym. Dopiero za naszych dni ogarnął Europę szeroki prąd organizacji poziomej i konstrukcji pionowej państwa i społeczeństwa. Nie wyrzekając się „demokratyczności” wydaliśmy walkę „demokracji równościowej” wysuwając hasło „demokracji zorganizowanej”, opartej na zasadzie hierarchii, samorządu i korporacjonizmu.

To dążenie do organizacji nazywane bywa „powrotem do średniowiecza”. Albowiem średniowiecze było cudownem, organicznem powiązaniem jedności ducha i myśli z wielością hierarchicznie wyrastających z siebie form.

Tak pojęte „nowe średniowiecze” nie może być uznane za sprzeczne z nacjonalizmem. Argumentem *contra* nie może być tu fakt, że ten lub ów pisarz, podejrzewany o związki z masonerią, zwalcza gasnący świat demokracji i „stawia” na organizację, gdyż fakty tego rodzaju nie są wogóle żadnym argumentem. Trzeba wreszcie zronumieć, że — jeżeli chodzi o idee nie bojące się światła dziennego — niema podziału na idee masońskie i niemasońskie. Wszelka idea może stać się „masońską”, gdy będzie podjęta przez masonerię i odpowiednio „naświetlona”. I im idea jakaś jest bardziej żywotna, „dynamiczna”, tem więcej ma danych na to, by ją zagarnęła na własny użytek masoneria. Napewno masoni bardzo żałują, że tak późno dostrzegli motoryczne wartości nacjonalizmu i wskutek tego pozwolili mu „marnować się” w rękach nacjonalistów. Przeciwnikom swoim masoni z chęcią „cedują” wszelkie idee spóźnione, przebrzmiałe, lub mało atrakcyjne. I najbardziej zasługują się masonerii ci z jej przeciwników, którzy jakby z reguły podejmują z nią walkę na każdej jaka tylko się trafi przegranej pozycji. Typową dla naszych czasów taką „straconą pozycją” jest np. pozycja „demokracji parlamentarnej”.

Nie trzeba jednak ani Corota ani Fałata na to ażeby „własnym” wysiłkiem znaleźć wśród otaczającej nas rzeczywistości właściwy punkt widzenia. I nie trzeba Metternicha, ażeby, stanąwszy w tym punkcie, rozpoznać, gdzie pozycja stracona a gdzie zwycięska.

X. X.

EWOLUCJA DUCHOWA PAPINIEGO

NA TLE JEGO TWÓRCZOŚCI [1]

JAN Papini. Gdy mówię to imię, staje przed nami sucha, chuda twarz, wysokie czoło i bujna grzywa rozwianych włosów. Jasne, zmęczone pracą oczy za grubemi szłami binokli i bolesna zmarszczka, przeorująca z góry na dół czoło. Ale jednocześnie gdy wymawiam to imię, zjawia się przedemną tom „Dziejów Chrystusa” najpiękniejszej i najgoręcej napisanej książki, jaką wydały lata powojenne, tej książki, która była nie tylko zdobywczem dziełem jej autora, nie tylko wyznaniem wiary namiętnego intelektualisty, zagubionego na manowcach tylu błędów lecz także magnesem ściągającym ku wierze każdego, niezbyt upartego czytelnika i wejrzeniem całkowicie współczesnym na Prawdę Czterech Ewangelii. Dziś, w czasach, gdy, jak się to mówi, można znaleźć moralność poza moralnością ewangeliczną, dobro — poza dobrem, które przyniosły światu Ewangelie, piękno — poza pięknem zawartym w zbiorowem dziele trzech galilejskich rybaków i jednego greckiego lekarza, prawdę — poza prawdą słów: „Jam jest Droga i Prawda i Żywot”, wiedzę — poza Boską wszechwiedzą i wiarę — poza wiarą w Tego, który rzekł: „Ufajcie Jam zwyciężył świat” — w tych czasach dzieło człowieka, który, wychodząc od pełnego sarkazmu przeczenia, doszedł aż do najwyższej afirmacji a ostatnie jego strony pisał już na kolanach ma znaczenie i wagę większą niż sto czy tysiąc innych książek, mówiących o wszystkiem i o niczem a omijających temat, który zawiera sam w sobie wszystko, bez cienia nicości.

Papini jest Florentyńczykiem. Ten fakt wiele rzeczy wyjaśnia. Można być wielkim artystą pod każdem niebem i w każdym klimacie. Ale kto dźwiga na swych barkach dziedzictwo geniuszu Michała Anioła, Leonarda da Vinci czy Galileusza, kto wyrósł wśród popiołów stosu ostatniego z wielkich bojowników średniowiecza, Savonaroli, komu nie obcym był ani przemądry cynizm Machiavella ani rozpusta Boccacia ani też „boski” zryw Dantego — ten nie może się zmieścić ani w ciasnych ramach przeciętności, ani w chłodnej niszy obojętności i obiektywizmu, ani też w zracjonalizowanej postawie niewiary. Fiorentyńczyk— to człowiek, który marzy o wielkości, który płonie ogniem niepohamowanych porywów i który jest albo katolickim albo musi przeciwko katolicyzmowi wystąpić.

Papiniego własny ojciec oddalił od katolicyzmu. W pisarzu jednak — choć był tylko jeszcze chłopcem — gorzał ogień nieukojonych żądz a dusza jego wyrywała się rozpaczliwie ku wielkości.

Gdzież miał jej szukać? Nie był piękny — jak sam to przyznaje — a chorobliwa nieśmiałość uczyniła go samotnikiem. Są ludzie, którzy się samotności lękają i dążą do tego aby od niej uciec. Papini przyznaje, że samotność stanowiła męczarnię jego życia. Nienawidził jej a jednocześnie — kochał ją. Ponieważ nie mógł od niej uciec łatwym, codziennym sposobem, tak jak to robi tylu ludzi, postanowił nad nią zapanować. W ciche wieczory spędzane nad lampką przy pełgającym blasku oliwnej lampki, w gorące ranki, gdy w bibliotekach przerzucał jeden za drugim grube tomy, rodziło się w pisarzu to wielkie pragnienie aby stać się dla ludzi czemś więcej niż

[1]) Odczyt wygłoszony na wieczorze poświęconym twórczości Jana Papiniego.

jednym z współbraci. Być tylko człowiekiem, zwykłym „zjadaczem chleba” — to upokorzenie! Ale wyjść ponad przeciętność, zapanować nad słabością swej woli, nad ułomnością swych przyzwyczajeń i nałogów, sięgnąć aż w rejony boskości i wtedy, stamtąd zstąpić do ludzi w groźnej postawie proroka, niosącego pochód prawdy, wziąść na siebie ciało nowego mesjasza, który dźwignie małych karzełków o mieszczańsko - filisterskich duszach do poziomu nadludzi — to trud, którego warto się podjąć. Bo czyż jest coś nadeń większego?

Lecz mesjasz nie schodzi do ludzi tylko z retoryką słowa. Musi przynosić myśl, ideę, czy prawdę. Trzeba więc najpierw prawdę tę odnaleźć a potem stać się jej namiętnym głosicielem i apostołem.

Papini od dzieciństwa szukał takiej właśnie prawdy. Mając piętnaście lat, przekarmiony ateizmem ojca, wierzył, że znajdzie swoją misję w obalaniu autorytetu Pisma świętego. Załamawszy się na ogromie zadania, chwytał się kolejno innych rzeczy. Pociągnęła go filozofia. Wyznawał przez pewien czas stoicyzm, wierząc, że w rezygnacji i kulcie rozumu odnajdzie rozwiązanie zagadki bytu. Potem pociągnął go monizm. Przez dłuższy czas wierzył w jedność wszystkich zjawisk świata. Jednak ta pesymistyczna i bierna filozofia nie mogła zaspokoić jego umysłu. Od zachwytów nad monizmem przeszedł do zachwytów nad anarchizmem. Potem przez dłuższy czas głosił pragmatyzm z zapałem misjonarza.

Po paru latach burzliwego i pełnego kolejnych bankructw życia znajdujemy Papiniego u wrót teozofii i buddaizmu. Sam powie później na kartach „Św. Augustyna”: „Gdy człowiek stracił i nie odnajdzie prawdziwego Boga a jednak nie wiedząc szuka Go, niema innej pociechy nad manię zdobywania jakiegoś okrucha boskości”.

Czy wolno nam wątpić, że człowiek tej miary co Papini, ogarnięty namiętnem pragnieniem apostolstwa i pragnący za wszelką cenę wyjść ponad szarość dnia codziennego, mógł nie dążyć— choćby nieświadomie dla siebie — do Boga? Nieraz w swojem życiu pisarz bierze w dłonie Cztery Ewangelie, ale mu one nic nie mówią. A raczej to on nie chce ich słuchać. Sw. Augustyn powiedział, że aby wejść w furtę wiodącą ku prawdzie Ewangelii trzebaby być albo dzieckiem albo posuwać się na kolanach. A Papini szedł wyprostowany z hardo podniesioną głową. To też nie umiał znaleźć „ciasnej bramy” tej jedynej, która wiedzie ku Prawdzie.

A przecież szukał. Sam nie wiedząc czego szuka i czego pragnie, bił się w otaczającej go pustce. Szarpał się tragiczną szarpaniną zwierzęcia, którego płucom zabrakło powietrza.

Przyszedł moment, że ogarnął go gniew. Jakto — powiadał sobie — chrześcijaństwo chwali się, że znalazło receptę na nadludzkość i na podstawie tego oświadczenia żyje od dwu tysięcy lat. A on, szarpiąc się w męce nadludzkiej walki, tajemnicy tej nie znalazł. Chyba więc katolicyzm kłamie, mówiąc o świętości?! Chyba więc kłamie, mówiąc o Bogu?! Bóg — to widocznie tylko fikcja — doskonała właśnie w swej fikcyjności — a świętość to stan chorobliwy, patologiczny, rodzaj duchowych torsyj i zwykła rekcja po ciężkim przestępstwie.

Rozpacz pisarza wyraziła się w bluźnierstwach. Pisał sztuki teatralne w których chciał dowieść nieistnienia Boga, bluzgał straszliwym sarkazmem „Pamiętników Pana Boga”. Niczego nie osiągnął.

A raczej przeciwnie. Często błędnie wymierzony cios trafia rykoszetem żołnierza, który go zadał. Tak było właśnie z Papinim. Aby, jak sam mówił, odkryć kłamstwo chrystianizmu, musiał przyjść i sięgnąć do ksiąg z których wyrasta mądrość katolicka. Mimo zaślepienia wyczuł, że w księgach tych jest coś czego nie przezwycięży. Przemógł więc swoją niechęć i szerzej rozwarł strony Ewangelii. Odrzucił pychę i szyderstwo; czego nie potrafił wyśmiać sądził, że to potrafi zdobyć podstępem. Rozczytywał się w mistykach. Wejrzał w duchowe ćwiczenia św. Ignacego i w poezję „Kwiatuszków”...

Zdobywszy zapas wiedzy — lecz jeszcze nie wiary — mniemał, że zwyciężył. Oddalił się w samotne ustronie górskie aby poznane prawdy w sobie przetrawić. Gdy je przetrawi — sądził — wróci do ludzi triumfatorem, nadczłowiekiem, demiurgiem...

Ale poznana wiedza nie dała mu nic. Wrócił z gór bankrutem.

Wtedy sądzono, że się skończył. Na te zjadliwe uwagi Papini odpowiedział ironią „Skończonego człowieka”. Nie jestem jeszcze skończonym człowiekiem! — wołał z kart tej książki — Mam zaledwie trzydzieści dwa lata, zapał i chęć do pracy. A bankrutowałem już w życiu nieraz. Bankrutowałem zawsze, gdy stawałem wobec słabości i nicości człowieka. Ale moje bankructwa nie złamały mnie. Jestem wciąż gotowy do nowej walki.

To była prawda. Bo gdy pisarz raz jeszcze powrócił do swej wiedzy zdobytej w prometejskiej wyprawie ku Ewangeliom, nagle, — a może powoli, — w ciągu długich dni spędzanych nad kartami tej jedynie świętej księgi, wiedza poczęła przeradzać się w wiarę, zaś wiara zrodziła cud. I Papini zrozumiał, że istnieje tylko jedna rzecz o którą warto walczyć, że istnieje tylko jedna Prawda, której warto szukać i istnieje tylko jeden symbol, ku któremu warto podnosić wzrok, — ten na którego patrzymy i obyśmy mogli patzyć póki nam oczu śmierć nie zamknie: na krzyż!

Papini nie odrazu przeszedł, że się tak wyrażę, na drugą stronę barykady. Intelektualista wysokiej miary musiał najpierw złożyć u stóp spotkanego Boga całą swoją wiedzę. Jeżeli powiedziałem już raz, że „Dzieje Chrystusa” są książką wyjątkowo nowoczesną, to dla tego, iż czynią z całej współczesnej wiedzy stos i jego blaskiem oświetlają wielkość Czterech Boskich Ksiąg. Tylko głupiec okrzyknąłby Papiniego w tym miejscu barbarzyńcą. To nie duch zniszczenia przemawia w tej chwili przez pisarza ale poczucie dysproporcji między dziełami rąk i umysłu ludzkiego a dziełem Ducha Swiętego, któremu tylko zewnętrzną formę nadali ludzie.

„Dzieje Chrystusa” są wielkim odkryciem Ewangelii przez współczesnego człowieka. Byli tacy, którzy twierdzili, że w książce przebija się tendencja antykapitalistyczna. Niewątpliwie tak — w tej mierze w jakiej kapitalizm sprzeciwia się światopoglądowi katolickiemu. Lecz w równej mierze pisarz przeciwstawia się jakimkolwiek tendencjom komunistycznym. Jeżeli niejednokrotnie

i z całą siłą podkreśla warunek ubóstwa jako ten niezbędny warunek życia, ku któremu wzywa ludzi Chrystus, to z drugiej strony niema w książce ani jednego zdania, nasuwającego przypuszczenie, iż pisarz w jakiejś utopijnej równości widzi rozwiązanie kwestyj społecznych. Doprowadzając tezy ewangeliczne aż do ich krańcowości, Papini okazuje w tem cały swój życiowy realizm, bo przecież zdajemy sobie sprawę, że tylko doprowadzenie ich aż do krańcowości uwarunkuje pomyślne rozwiązanie wszystkich trudności. W dziele człowieka, który tak jak Papini wiele czasu poświęcił rozwiązywaniu problematów społecznych, taka postawa staje się nietylko pewnym stwierdzeniem, lecz także programem na przyszłość. I rzeczywiście „Dzieje Chrystusa" są nie tylko manifestem wiary osobistej autora, lecz także wielkim manifestem ufności w jedyną skuteczność rozwiązań problematów społecznych w duchu katolickim.

Jeżeli Ewangelie stały się dla pisarza punktem wyjścia dla rozwiązywania społecznych konfliktów to tylko dlatego, że Chrystus w książce Papiniego jest w dostatecznej mierze Człowiekiem. Często się zdarza — i przyznajmy, że jest to rzeczą zupełnie zrozumiałą — iż autor, podejmując się wielkiego dzieła nakreślenia wizerunku Zbawcy Swiata, zapomina zupełnie o Jego ludzkiej naturze. Niewątpliwie — pierwiastek cudowności w życiu Jezusa — i to takie właśnie życie, pełne cichego heroizmu, miłości i poświęcenia — było cudem. Cudem wprawdzie nie na miarę ludzką ale na miarę ludzkiej natury. Jednem słowem było wcieleniem najwyższej świętości. A świętość to nie ucieczka i odejście od życia ale samo życie.

Jezus w książce Papiniego żyje, cierpi, troska się, boleje nad niepojętnością swoich najbliższych, podlega często ludzkim nadziejom i upadkom ducha. Jako najwyższa świętość szuka wokół siebie świętości. A także szuka grzeszników. Bo — jak lekarz ścigający chorobę, tak Chrystus wciąż pamięta o tem, że przyszedł aby „odnaleźć co było zginęło", wciąż nie może zapominać o ginących na manowcach grzechu.

I oto jesteśmy na śladzie drugiego, wielkiego odkrycia Papiniego. Odkrycie to ma niewątpliwie pewnego rodzaju charakter subiektywny. Papini od chwili odnalezienia wiary począł marzyć aby stać się jej wyrazicielem a lękał się, że może temu stanąć na drodze jego poprzednie życie. Lecz zrozumiawszy tę cudowną krańcowość nauki Chrystusa, interesującej się przedewszystkiem gorącymi i zimnymi, poczuł się jakby napełniony otuchą. I to stało się jego wielkiem odkryciem, wyrażającem się tem, że wystarczy Bogu wyznać własną niegodność aby móc z całą zuchwałością mówić o świętości.

A wreszcie trzecie odkrycie: w bluźnierczych „Pamiętnikach Pana Boga" Papini oskarżał Boga o zadawanie ludziom cierpień. Zachowywał jednak postawę, że tak powiem, naturalną. Mówił o tem cierpieniu tak, jakby go ono osobiście nic nie obchodziło. Potem — gdy pisał „Dzieje Chrystusa" — zmienił zdanie. Wszyscy cierpimy! — woła w modlitwie zamykającej książkę — przyjdź Boże i wspomóż nas!

Odnalezienie wiary jest przeżyciem: ale na to przeżycie składa się cały szereg drobniejszych odkryć i przeżyć. Papini, szukając Boga, nie tylko że Go znalazł, lecz także znalazł ludzi i swoje wobec nich stanowisko. Po raz pierwszy wyjście ponad codzienność stało się dlań czemś rzeczywiście realnem.

Wiemy, że Papini zawsze pragnął nadczłowieczeństwa. To też, gdy w katolicyźmie odnalazł podstawę dla swych nowych dążeń, postanowił stać się apostołem swej wiary. Są apostołowie cichości, łagodności i poddania, lecz są także wspaniałe postaci, w których szaleją burze myśli i słów. Papini zbyt mocno tkwił w swej florenckiej naturze, aby nie wybuchnąć gorejącą lawą gniewu i żółci, tej żółci, której, według słów pisarza „nie zna asceta, ale która była i będzie sławą apostołów i proroków".

Galileusz, czy Leonardo, nauczyli Papiniego niezmordowanych poszukiwań. Po Machiavellu otrzymał zmysł zimnej kalkulacji, zaś Boccacio zaraził go ironią i szyderstwem. Carducci wskazał mu jak trzeba nieść płonącą żagiew wciąż nowej rewolucji. Lecz Savonarola stał się dlań nauczycielem żarliwości.

Savonarola — to nie tylko płonący stos chwili ostatniej lecz także wielkie stosy inkwizytorskie, dziecinna armia, oczyszczająca miasto z brudów i wspaniały gest, którym rzucała Florencja w płomienie wszystkie symbole zepsucia swoich czasów. Papini nagle zapragnął stać się nowym inkwizytorem. Schyliwszy czoła przed boskością Czterech Ksiąg Ewangelicznych, nagle postanowił z niemi zestawić i porównać wszystko inne, co stworzył geniusz i talent ludzki od najdawniejszych do ostatnich czasów. Zbudował wysoki stos z ksiąg, rzucił nań najukochańszych mistrzów i nauczycieli, począł na nowo spoglądać w otwarte strony Ewangelii. Stos rósł a Papini coraz mocniej uświadamiał sobie, że niema i nie może być porównania między dziełem Bożem a dziełami rąk ludzkich. Cała twórczość przemówiła do niego pustką lub niepełnością. Miał przed sobą dzieła, które albo przeciwstawiały się poematowi Czterech Ksiąg albo usiłowały iść jego śladem. Pierwsze potępił groźnem zaklęciem. Jednocześnie uświadomił sobie słabość tych drugich.

Osądziwszy aż tak surowo myśl i sztukę, nie mógł nie ustosunkować się podobnie do całej cywilizacji współczesnej. Na tem podłożu pojawił się „Gog", jedna z najciekawszych i najcharakterystyczniejszych książek doby powojennej. Potraktowana jako pamiętnik dekadenta, maniaka, półszaleńca, przedstawia w kapitalnej syntezie całą cywilizację współczesną. Nauka, sztuka, moralność są tu jak najsurowiej osądzone. Przerażający egoizm i egocentryzm ludzi współczesnych namalowany jest w sposób wyjątkowo plastyczny.

Gog, miliarder amerykański, człowiek pozbawiony moralności i kultury opowiada o swoich podróżach po świecie. Cynizm, z jakim to robi, jest chwilami odrażający. Mamy w książce wspaniałą scenę, w której bohater spowiada się ze swych pozbawionych jakiegokolwiek hamulca pragnień: „Gdybym potrafił — powiada — wygłodzić jakiś kontynent, zatopić parę królestw, poćwiartować jakieś mocarstwo na republiki takie jak San Marino albo Andorra, zniszczyć jakąś rasę, odciąć Europę od Azji kanałem, który biegłby od zatoki Botnickiej do morza Kaspijskiego, zmusić wszystkich ludzi do mówienia i pisania jednym tylko językiem, to myślę, że zdołałbym na kilka lat zabić w sobie tę wiecznie odżywającą nudę".

(Dok. nast.) JAN DOBRACZYŃSKI

„LILLA WENEDA“ A KARAMZIN

(W 90-ą ROCZNICĘ ŚMIERCI J. SŁOWACKIEGO)

O TEM, że Słowacki rozczytywał się często w „Historii narodu rosyjskiego” Mikołaja Karamzina, że chętnie z niej czerpał materiały i motywy do swoich utworów, wiadomo z własnoręcznych notatek polskiego poety, datujących się z różnych okresów jego życia. „Już w „najmłodszym z płodów”, jak Słowacki nazwał „Mindowego”, spotykamy dopisek: „Pisząc tę scenę, miałem tylko przed oczyma kilka miejsc z kronik, kilka miejsc z historii Karamzina, gdzie nieraz z upodobaniem czytałem o dawnym ubóstwie królów i kniaziów”.

W kilkanaście lat po wydaniu „Mindowego”, już na schyłku swego żywota, Słowacki notował w raptularzu streszczenie całych stron z dzieła rosyjskiego historyka, odnoszących się do dziejów Michała Twerskiego, którego uczynił głównym bohaterem powstającego naówczas dramatu. Ponadto w tymże raptularzu zapisał kilka drobnych szczegółów wziętych również z Karamzina, a odnoszących się do pierwotnych obyczajów rosyjskich.

Łączność twórczości Słowackiego z Historią Karamzina nie uszła uwagi badaczy literatury, którzy, idąc za wspomnianemi powyżej notatkami poety, wyświetlili w tym względzie nader wiele. Pierwszeństwo na tem polu i największą zasługę ma prof. Hahn, którego pamiętną pracą było krytyczne ustalenie tekstu „Księcia Michała Twerskiego” i wyświetlenie źródeł historycznych tego wspaniałego fragmentu dramatycznego („Ks. Michał Twerski”, Księga pamiątkowa ku uczczeniu setnej rocznicy Juliusza Słowackiego, 1909); tenże badacz kilkakrotnie (zwłaszcza w wydaniu „Mindowego” w Bibliotece Narodowej) omawiał wpływy Karamzina na najwcześniejszy dramat Słowackiego. Sladami wskazanemi przez Hahna poszedł prof. Kleiner zarówno w czwartym tomie swej monografii o Słowackim, jak i w poszczególnych tomach „Dzieł wszystkich” poety. Poza „Mindowem” i „Księciem Twerskim”, przedmiotem obserwacji był dlań „Król-Duch”. Na tem polu spotkał się Kleiner z zasłużonym wydawcą „Króla-Ducha”, prof. Janem Gwalbertem Pawlikowskim, który w komentarzach swych wspomina także i Karamzina. Spostrzeżenia obu badaczy dotyczyły (poza drobniejszemi szczegółami) głównie postaci Popiela, którego charakter oraz rolę w narodzie przyrównano do Karamzinowskiego wizerunku Iwana Groźnego.

Tak więc opinia wybitnych znawców twórczości Słowackiego stwierdziła słusznie i zgodnie, że wpływ Karamzina na polskiego poetę był silny i niezaprzeczony. Stwierdzono ten wpływ, jak widzieliśmy, w dwóch fazach wspomnianej twórczości: w jej wileńskim zaraniu i w paryskich dniach dogorywającego już życia poety. Dziwić mogłaby kogoś przerwa dość długa między owymi okresami; nasuwałoby się przypuszczenie o jakimś „nawrocie” do upodobań młodzieńczych, o jakims braku ciągłości w posiłkowaniu się tem źródłem, które nietylko dostarczało Słowackiemu mnóstwa pomysłów tematowych, ale, jak trafnie zaznaczył Kleiner, dawało mu „zrozumienie etyki bohaterskiej” i pomagało walnie do „zrealizowania idei etycznej”.

Atoli, wbrew możliwemu czyjemuś przypuszczeniu, ciągłości owej bynajmniej nigdy nie brakło i nawiązywanie do Karamzina w ostatnich latach twórczości Słowackiego nie było wcale zjawiskiem niespodzianym. Wprawdzie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że intensywność zainteresowania się Karamzinem mogła być w pewnej mierze owocem prelekcyj paryskich Mickiewicza, nie mniej przy dokładnym przyjrzeniu się dziełom wcześniejszym niż prelekcje, stwierdzić należy, że Słowacki jeszcze w owym czasie samorzutnie powracał do lektury rosyjskiego historyka.

Wspomniani badacze Słowackiego nie wyczerpali wszystkich szczegółów „Króla-Ducha” przejętych przez poetę z Karamzina. A przecie szczegółami takiemi przetkany jest cały Rapsod I, który w świetle tego wzoru czy źródła tłumaczyć się będzie o wiele jaśniej pod względem zarówno treściowym jako też ideowym.

Jak wiadomo, tłem początkowych wspomnień metapsychicznych Króla-Ducha jest Kaukaz, obok zaś przeżyć Hera Armeńczyka grają tu pewną rolę postawione na dalszym planie reinkarnacje Orfeusza i Ulissesa. Wybór Kaukazu jako domniemanej kolebki Popiela różnie bywał interpretowany. Pawlikowski zwraca uwagę, że według Naruszewicza plemię Lechitów, które zawojowało Polskę, przyszło z Kaukazu. Kleiner przyjmuje identyfikację Kaukazu z Armenią (Transkaukazja) i dodaje: „Możliwe, że związek z mitem o Prometeuszu dał Kaukazowi w oczach poety szczególne znaczenie poetyckie; mogła tu zresztą działać i literatura rosyjska”.

Nie wyjaśnił Kleiner, jakie dzieła literatury rosyjskiej miał na myśli; domyślać się można, że szło mu o Puszkina lub (wspominanego przez Słowackiego) Lermontowa, którzy nieraz opiewali Kaukaz. A przecie nie trzeba było sięgać aż tak daleko. Trzeba było wziąć znowu do ręki tak dobrze Słowackiemu znajomą Historię Karamzina, gdzie zaraz na pierwszych dwóch stronicach czytamy: „Jedynie w opowieściach Greków i Rzymian zachowały się wiadomości o starożytnej naszej ojczyźnie... Pierwsi z nich nader wcześnie odkryli drogę przez Hellespont i Bosfor Tracki na morze Czarne, jeśli słuszna wierzyć słynnej wyprawie Argonautów na Kolchidę, opiewanej rzekomo przez uczestnika onej wyprawy, samego Orfeusza, w XII wieku przed narodzeniem Chrystusa. W ciekawym tym poemacie, opartym z pewnością na starożytnej tradycji, wspomniano K a u k a z (sławny legendarnemi torturami nieszczęsnego Prometeusza), rzekę Fazis (dziś Pion), morze Meockie czyli Azowskie, Bosfor, naród Kaspijski, Taurów i Kimmeryjczyków, mieszkańców południowej Rusi. Spiewak czynów U l i s s e s a również wspomina tych ostatnich: „Jest tam naród Kimmeryjski (powiada) i miasto Kimmerion, zasłonięte mgłą i chmurami; słońce nie opromienia tej smutnej krainy, gdzie wiekuiście panuje noc głęboka”. Te tak mylne mniemanie mieli ludzie spółcześni Homerowi o krainach Europy południowo-wschodniej; wszelakoż

legenda o mrokach Kimmeryjskich stała się przysłowiem wieków następnych, a morze Czarne, jak wolno przypuszczać, stąd właśnie wzięło swoją nazwę".

Te kimmeryjskie mroki zdają się mieć swe odbicie w drugiej strofie pierwszego rapsodu „Króla-Ducha", gdzie mowa o „ech ciemnej okolicy" i o „szczerniałem niebie" nad Kaukazem. A jeżeli nad strofami temi unoszą się świadome reminiscencje platońskie (Her Armeńczyk z „Rzeczypospolitej"), to może nie od rzeczy będzie napomknąć, co zaraz po przytoczonych słowach pisze Karamzin o kolonii greckiej Olbii założonej we wspomnianych okolicach w V wieku przed Chrystusem: iż „jej obywatele z zamiłowaniem czytali Platona i umieli na pamięć Iliadę, a idąc do boju, śpiewali wiersze Homera".

Możnaby przytoczyć wiele jeszcze innych miejsc tegoż rapsodu, gdzie reminiscencje Karamzina bywają oczywiste, a conajmniej prawdopodobne. Krótko tylko zaznaczę, że dotyczą one głównie szczegółów topograficznych i etnograficznych, a więc przedewszystkiem rozmieszczenia lub nazw plemion, jakie otarły się o ziemie Słowiańszczyzny. Wśród tych nazw (niekiedy przerzuconych i poza tekst główny Rapsodu I), prócz Germanów, Gotów, Hunnów, Łotyszów, Połowców i Czudów i in. „*ludyszcz*" wspomniani są (Raps. I. pieśń II, str. 21) także i Wenedowie. Większą oni mają w poemacie rolę, niżby z przelotnej, niemal obojętnej wzmianki wnosić można było. Choć gdzie indziej nie nazwani po imieniu, w tym rapsodzie jednakże sprawa tego ludu jest sprawą zasadniczą i w pewnej mierze główną. Wszak z narodu Wenedów pochodzi, jako syn Rozy Wenedy i popiołów wenedzkich, sam bohater rapsodu — Popiel.

Skąd wziął Słowacki nazwę narodu Wenedów?

Na pytanie to nie dawali badacze jasnej odpowiedzi, niemal nie zajmowali się tą kwestią. Zazwyczaj kojarzono ową nazwę z imieniem Welledy z Chateaubrianda, czasami napomknięto o tem, że Niemcy „jedno z plemion słowiańskich" nazywają Wendami.

Poza te ogólniki nie wysuwano się wcale. Nikt nie myślał zajrzeć do tego źródła, z którego Słowacki korzystał niezaprzeczenie, skoro się do znajomości jego lubił przyznawać.

Źródłem tem był znowu Karamzin.

Cały pierwszy rozdział jego Historii jest pełen długich i wielostronnych informacyj o Wenedach. Przytoczę urywki co najważniejsze; oto pierwszy z nich:

„Gocki historyk z wieku VI, Iornades, pisze, że Ermanarych prócz wielu innych narodów pokonał także W e n e d ó w, którzy mieszkając w sąsiedztwie z Estami i Herulami żyjącemi na brzegach morza Bałtyckiego, słynęli bardziej liczebnością niż sztuką wojowania".

Przyłożywszy w dopisku informację Jornandesa, że Wenedowie „starali się poraz piewszy bronić", Karamzin pisze dalej za tym kronikarzem:

„Choć Wenedowie, Antowie i Słowianie nadają sobie obecnie te trzy różne imiona, jednakże pochodzą z j e d n e g o p l e m i e n i a".

Poczem dodaje uwagę: „Wiadomość, że W e n e d o w i e... byli jednoplemieńcami Słowian, jest dla nas interesująca i ważna".

Nietylko interesującą i ważną, ale i wiarygodną wydaje się historykowi rosyjskiemu owa wiadomość. Gromadzi więc na jej poparcie argumenty z Pliniusza, Tacyta, Ptolemeusza, Pawła Diakona i kronikarzy bizantyńskich, wskazując, że siedliskiem tego plemienia były brzegi Wisły lub pobrzeże Bałtyku. Napomyka też i o hipotezie, wedle której słowiańskiego pochodzenia mieli być także Wenetowie czyli Ainetowie w północnej Italii, przyczem cytuje mniemanie kronikarzy wywodzących „niewątpliwie" nazwę tego plemienia od greckiego αἶνος, oznaczającego „chwałę" czy „sławę".

Wobec tego stanowczego utożsamienia Wenedów ze Słowianami, musimy przyjrzeć się uważniej temu, co Karamzin pisze o samych Słowianach pierwotnych.

Rozpisuje się o nich bardzo obszernie w obu pierwszych rozdziałach swego dzieła, korzystając obficie ze źródeł najrozmaitszych: nie brak śród nich naszego Kadłubka, a także Sarnickiego i Strykowskiego, ale kopalnią najważniejszych i zdaniem historyka na największą wiarę zasługujących informacyj są dlań Nestor i kronikarze bizantyńscy, w niektórych szczegółach także i kronikarze niemieccy.

Oto co w II rozdziale Historii podaje za Nestorem: „Nestor pisze, że Słowianie o d d a w n a mieszkali w krajach naddunajskich, a wyparci z Mezji przez Bułgarów, z Pannonii zaś przez Włochów... przeszli do Rosji, Polski i innych ziem. Wiadomość ta o pierwotnych siedliskach naszych przodków została prawdopodobnie zaczerpnięta z kronikarzy bizantyńskich, którzy zetknęli się z nimi w VI wieku na brzegach Dunaju".

Od tych właśnie kronikarzy: Teofilakta Simokaty, Anastazjusza, Teofanesa i Prokopa, bierze Karamzin wiadomości o wrażeniu, jakie uczynili Słowianie w VI wieku na Grekach, a co jeszcze ważniejsze i ciekawsze: o usposobieniu, prawach i obyczajach słowiańskich w owych dawnych wiekach. Opowiedziawszy, jak „okrutny chan awarski Bajan rozbił wojsko Antów, zabił ich posła, znamienitego księcia Mezamira, ograbił krainę, a niebawem zawojował Morawy, Bohemię, gdzie mieszkali Czesi i inni Słowianie" — historyk rosyjski dodaje:

„Wszelakoż nie wszystkie narody słowiańskie poddały się temu chanowi. Ci, którzy mieszkali za Wisłą i dalej na północ, uszli niewoli. Tak więc pod koniec szóstego wieku na brzegach morza Bałtyckiego żyli spokojni i szczęśliwi Słowianie, których on nadaremnie usiłował skłonić do wojny przeciw Grekom i którzy odmówili pomocy jego wojskom. To zdarzenie, opisane przez historyków bizantyńskich, godne jest uwagi i zaciekawienia: „Grecy (tak opowiadają wspomniani historycy), wzięli w niewolę trzech cudzoziemców, którzy zamiast oręża mieli przy sobie jedynie harfy albo gęśle. Cesarz spytał: kto oni zacz? My Słowianie, odpowiedzieli cudzoziemcy; mieszkamy zaś na najdalszym krańcu Oceanu Zachodniego (morza Bałtyckiego). Chan awarski przysłał naszym wojewodom dary i zażądał wojska celem prowadzenia wojny przeciw Grekom. Wojewodowie wzięli podarki, ale wysłali nas do chana z usprawiedliwieniem, iż ze względu na wielką odległość nie mogą mu udzielić pomocy. Sami byliśmy w drodze piętnaście miesięcy. Chan, nie

zważając na świętość urzędu poselskiego, nie pozwalał nam odejść do ojczyzny. Słysząc o bogactwie i uprzejmości Greków, przy nadarzonej sposobności uciekliśmy do Tracji. Nie umiemy obchodzić się z orężem, jedynie grywamy na harfach. W naszej krainie niema żelaza: nie znając wojny i kochając muzykę, wiedziemy żywot cichy i spokojny. Cesarz dziwił się łagodnemu usposobieniu tych ludzi, ich wielkiemu wzrostowi i sile fizycznej. Ugościwszy posłów zapewnił im środki celem powrotu na ziemię ojczystą".

Ta relacja kronikarzy bizantyńskich tak zachwyciła Karamzina, iż opatrzył ją wykrzyknikiem:

„Owo zamiłowanie w pokoju, właściwe Słowianom bałtyckim, na tle okropności ówczesnego barbarzyństwa, narzuca myślom obraz szczęścia, jakiego zwykliśmy szukać jedynie w wyobraźni".

A do obrazu tego powrócił raz jeszcze:

„Wendowie północni w VI wieku powiadali cesarzowi greckiemu, że główną ich uciechą jest muzyka i że oni nawet odbywając podróż biorą zwykle zamiast oręża gitary czyli gęśle przez nich wymyślone... Jednak nietylko na łonie ojczyzny i w pokoju, lecz też i w samych napadach swoich, na widok licznych nieprzyjaciół Słowianie cieszyli się, śpiewali i tym sposobem zapominali o niebezpieczeństwie. Tak Prokop w roku 529 opisując nocną wycieczkę greckiego wodza na ich wojsko, powiada, że Słowianie uśpieni pieśniami, nie przedsięwzięli żadnych środków ku obronie... Rzecz wiarygodna, że pieśni te w pierwiastkowej ojczyźnie Wenedów, sławy i zwycięstwa nie znających, spokojności poświęcone, wtenczas stały się wojennymi, gdy naród ich zbliżył się ku cesarstwu i wstąpił do Dacji; zapewne te pieśni zapalały serca ogniem męstwa, przedstawiały mu żywe obrazy bitw i rozlewu krwi, dochowały pamięć walecznych czynów i były w pewnym względzie najdawniejszą Słowian historią. Takim sposobem powstawała u wszystkich narodów poezja, wyobrażająca główne skłonności mieszkańców kraju" [1]).

Przekonamy się, że nie samo tylko miano Wenedów wziął Słowacki od Karamzina. Ich rysopis i charakterystyka w „Lilli Wenedzie" zupełnie dokładnie odpowiada temu, co polski tragik wyczytał w dziele rosyjskiego historyka. „Gwinono, patrzaj, jaki to lud rosły!" powiada do swej żony Lech, powtarzając pełne podziwu słowa — cesarza bizantyńskiego... A tegoż cesarza bizantyńskiego naśladuje święty Gwalbert, kiedy podziwia łagodność Wenedów: „Bo lud był dobry, choć nie chrześcijański". Uzupełnia tę charakterystykę dosadniej Lech, mówiąc: „To głuchoniemy jakiś lud, Gwinono". A prócz potulności zdążył już na wstępie zauważyć inną jego cechę: „A wiem, że mego miecza nie podźwignie". Bo już w pierwszej scenie aktu pierwszego Wenedowie ujawniają swoją niezdatność do wojny i zamiast z orężem ukazują się — z harfą...

Ale w tejże scenie pierwszej aktu pierwszego mamy przecie i zawiązek akcji dramatu: i co do niego też stwierdzić musimy, że podnietę zasadniczą dał tu Karamzin. Boć chyba nie przypadkowa to zbieżność, że i w dramacie Słowackiego spotykamy... „wziętych w niewolę trzech cudzoziemców" i że od samego początku ich pojawienia się na widowni roztrząsana jest sprawa ich wyzwolenia oraz powrotu do ojczystego pielesza.

A i te harfy, które jeńcy dzierżą w rękach, nie są jedynie ozdobą i narzędziem muzycznem. Im też przeznaczona rola w dramacie — i to rola podwójna: raz „budzą narodów lwy" i przynoszą zwycięstwo przez pieśń wojenną zapalającą serca wojowników; to znowu, przeciwnie, w obliczu licznych nieprzyjaciół usypiają serca wojowników i czynią je niezdatnymi do przedsięwzięcia środków ku obronie... Nie inną rolę przypisywał harfom i pieśniom Wenedów, za kronikarzami bizantyńskimi, Karamzin.

† JÓZEF BIRKENMAJER

(Dok. nast.)

[1]) Urywek powyższy przytoczyłem w przekładzie Grzegorza Buczyńskiego, wydanym w Warszawie u Zawadzkiego w 1824 roku. Inne cytaty podaję w dosłownym przekładzie własnym z oryginału rosyjskiego, na podstawie wydania trzeciego (*Istorija gosudarstwa rossijskawo*, t. I, *izdanije tretije, Sanktpietierburh 1830*), które było dość rozpowszechnione między emigrantami polskimi w Paryżu (dowodem egzemplarz, z którego korzystałem w Bibl. Rapp., stanowiący niegdyś własność Massalskiego). Z jakiego tekstu korzystał Słowacki, z oryginału czy przekładu Buczyńskiego, twierdzić niemogę napewno, przypuszczam jednak, że raczej miał przed oczyma oryginał; świadczą o tym zarówno różne świadome rusycyzmy w „Królu Duchu" i „Księciu Michale Twerskim", jako też głębsze, niż u Buczyńskiego, zrozumienie tak faktów historycznych i obyczajowych, jak i ducha historii rosyjskiej. Że Słowacki znał język rosyjski i czytał w nim biegle (choć niekoniecznie biegle nim mówił), na to dużo dowodów znaleźć można w „Kordianie", w listach do matki, w „Beniowskim", „Fantazym" (którego kto wie czy nie dałoby się porównać z utworami dramatycznymi Lermontowa?) i „Księdzu Marku". Zaznaczę, że o żadnych „gitarach", wspomnianych przez Buczyńskiego, niema mowy u Karamzina; są tylko „kifary" (κιθαρις) czyli harfy lub lutnie.

TAJEMNICA

Dlaczego, Panie, głos się nie załamał w krtani
Sędziemu, co stanąwszy przy Tobie w pobliżu,
Wiedział, kto sprawiedliwy: Ty czyli kapłani,
Lecz wyrzekł ze stoickim spokojem: — Ukrzyżuj...

Dlaczego, Panie, niebo ogniem jak pochodnia
Nie buchnęło i świat, pożarem zapalony,
Nie rozsypał się w popiół, kiedyś Ty, jak co dnia,
Schylił skroń pod ciężarem cierniowej korony...

Dlaczego, Panie, jeden z najbliższych dwunastu
Wraził, niewierny, dłonie swe w rany Mesjasza;
Przecież, że zmartwychwstaniesz — objawiłeś miastu,
Więc czemu jego wiara była, jak dziś — nasza?

WIESŁAW PYREK

WOŁANIE WIELKICH DNI

W Twe Wielkie dni — do Ciebie wołam z dali,
tęskna-m jest bowiem;
daj mi te dni na wielkiej przeżyć skali,
chociażem człowiek...

Bom jako wiesz — duch wprawdzie jest ochoczy,
lecz ciało mdłe:
bez ręki Twej — w codzienność się potoczy,
ugrzęźnie w dnie...

I jako wiesz — tęsknota mnie rozrywa
i wgłąb i wszerz;
więc tęskność mą w ramionach utul krzyża
Ty, który wiesz...

BOGNA CZAPLIŃSKA

NA WIDOWNI

Upadek państwa przez brak odwagi. — Narody także muszą stawiać na kartę. — Narody i plemiona. — Istotne drogi naszej wielkości.

OSTATNIE wypadki i związane z niemi zupełnie niespodziewane zmiany granic Europy stawiają nas w całkiem nowem położeniu międzynarodowem i zmuszają do głębokich przemyśleń. Będą to prawdziwe wielkopostne rekolekcje nie pozbawione pewnej goryczy.

Patrzyliśmy na upadek państwa i kapitulację narodu, dokonaną w bezprzykładnych warunkach. Posypał się oczywiście na Czechów grad ostrych sądów, których sama ostrość korzystnie świadczy o naszym narodzie. Oburzenie na kapitulację bez wystrzału i prób oporu i chęć czynnej walki zamiast biernej rozpaczy dowodzą naszej gotowości moralnej i żywości tradycji rycerskich. Naród czeski padł, bo zbrakło mu w ostatniej chwili determinacji i, zdradzony przez kierowników nawy państwowej, nie zdołał w sobie wykrzesać dostatecznych sił do oporu. Zmarnowano w marcu i wrześniu zeszłego roku jego zapał i uśpiono narodową czujność. Przyszło otępienie i katastrofa. Ale pamiętajmy, że temi samemi tępemi oczami patrzyło społeczeństwo czasów saskich na gwałty fryderycjańskie i na pruskie i rosyjskie wojska w kraju.

Nie sądźmy więc, bo może w tej otchłani upadku rodzą się już odrodzeńcze moce, które shańbiony naród dźwigną i oczyszczą. Historia dawała nam tego liczne przykłady i to właśnie z tymi samymi Czechami. Orzeł polski roztoczy skrzydła nad swoją nieszczęsną bracią i nie da jej zginąć. W więzieniu niemieckiem jęczą dziś Czesi obok Polaków i Łużyczan. Nowe to są węzły pomiędzy nami, a z niemi odejdzie na zawsze niepotrzebna waśń. Cierpią oni wprawdzie z własnej winy, ale do nas raczej należy ich wybawienie jak potępienie.

Dajmy więc Czechom absolucję zupełną, przypomniawszy sobie sejm niemy Ponińskiego i jeżdżących do Petersburga, z temi samemi co Hacha prośbami, Targowiczan — i skupmy swoją uwagę na czem innem — że oto klęskę poniosła materialistyczna koncepcja życia i idea rozsądku oszczędzającego krew. Zróbmy rachunek sumienia pod tym właśnie kątem. Poprzez krytykę bezrozumności powstań niektórzy z nas posunęli się aż do gloryfikacji postawy czeskiej, polegającej na targach z zaborcą i ostrożnem poszukiwaniu koniunktury. Tymczasem okazuje się, że romantyzm jest także i w polityce siłą bardzo realną i że naród, któremu zbraknie tego kapitału, drogo za to płaci przed historią. Okazuje się bowiem, że wielkie decyzje i w życiu narodu nie dadzą się osiągnąć w mozolnej kalkulacji *pro* i *contra* i posuwaniem się na pewniaka. „Kto nie ryzykuje ten nic nie ma" — narody także muszą być rozumne szałem i stawiać wszystko na jedną kartę. Alternatywa „śmierć albo zwycięstwo" jest bardzo realna i każda wojna stawia poniekąd naród w tem właśnie położeniu. To też nie tylko jednostce zaleca się myślenie o śmierci. Jest to dobre i dla narodu, oczywiście w sensie pamiętania o tem, że są chwile, w których musi się on rzucić na oślep, nie licząc swoich wrogów i nie rozważając szans zwycięstwa. Przy rozsądnej polityce tych chwil być nie powinno, ale nasza wola rządzi wprawdzie nami, ale nie rządzi światem, i to o ich istnieniu rozstrzyga. Przypomnijmy sobie, że wrześniową kapitulację motywował Syrowy tem, że „czasem trzeba większej odwagi, by żyć, niż, by popełnić samobójstwo". Prawda. Ale trzeba dodać poprawkę, że nie można nigdy bać się umierać. Ostateczności się stykają i życie wiecznie plącze się ze śmiercią.

Pójdźmy jednak dalej. Czechy upadły, Słowacja niby pozostała jako państwo — dziecinnie się ciesząc własną walutą i markami, a tracąc istotną niepodległość.

Niewolnicy zostali niewolnikami i z malutkiego plemienia nie wyrósł naród w przeciągu paru godzin. Narody nie rodzą się w pracowniach filologów i gabinetach polityków, ale tworzy je wiekami historia. Nauczmy się patrzeć na rzeczy i rozróżniajmy te dwie sprawy. Ostatnia książka Lutosławskiego o „Posłannictwie narodu polskiego" daje tu ciekawy materiał do rozważań. Jest tam wprawdzie dziwna mieszanina trafności uwag ze sklerotycznemi wprost fantazjami, ale jest i mocno postawiona prawda, że plemię nie stanowi jeszcze narodu, bo naród to przedewszystkiem kategoria duchowa. Słowacy oddający Niemcom swój kraj i wymieniając z nimi sztandary, dając im honorowe członkostwa „Hlinkowej gwardii", jasno pokazali, że nie dorośli do swojego kierownika i że ich próby utworzenia własnego państwa w tak ważnym punkcie Europy są wyraźną pomyłką. Potrafili oni tylko rozbić państwo czeskie, zdradzić naród węgierski i nie zrozumieć zupełnie szlachetnej postawy polskiej. Od powiastek we własnym języku do własnego państwa jest przepaść cała. Słowacy tej przepaści jeszcze nie zasypali. Ich stosunek życzliwy do Niemców, a niechętny do Polaków i obraza o Jaworzynę pomimo zostawienia im Spisza, z równoczesnem oddaniem Niemcom Dziewina, a pośrednio całego kraju, przeraźliwie jasno tego dowodzą. Wyciągnijmy sobie z tego jeden morał, ważny na zewnątrz i wewnątrz naszego państwa — że nigdy nie można traktować plemion na równi z narodami.

Ale wysuwa się tu odrazu, w takiem nastawieniu sprawy, kwestia kryterium. Otóż uważam, że daje je poniekąd stopień wyrobienia politycznego i jakości życia narodowego. Przykładowo porównajmy sobie Litwę i Słowację. Zachowanie się obu, jeszcze parę lat temu, byłoby zapewne podobne, ale sposób reakcji litewskiej na nasze ultimatum zeszłoroczne i na zajęcie Kłajpedy pozwala nazwać Litwinów narodem. Okazuje się, że możność znalezienia oparcia w historji i lepsze położenie geograficzne zrobiły swoje. Dzisiaj porównywać Litwinów ze Słowakami w żaden sposób nie można, a i przedtem byłoby to trudne, chociażby dlatego, że brakowało im państwa i że oni Czechom ani Węgrom nie dali ze swojej krwi takiej narodowej chluby, jaką jest dla nas Mickiewicz.

Idźmy jednak znowu dalej. Zrobiono u nas wiele huku ze wspólnej granicy z Węgrami i zupełnie słusznie, ale jasno jednak powiedzmy sobie, że to jest dopiero początek wielkich możliwości i, że wiele pracy będzie nas kosztowało istotne przywrócenie dawnego związku. Trzeba będzie

odnaleźć wspólną myśl i odzyskać utracony rytm polityczny. Niektórzy sądzą, że jest to niemożliwe, ale jest to tylko przecenienie trudności, które przede wszystkim wbrew pozorom są wewnętrznej natury. Jednakowa ewolucja przeżywana przez oba nasze narody i wypadki słowackie łączą nas ponownie poprzez Karpaty. To jest jedyny realny plus ostatnich wydarzeń, który możemy jeszcze wydatnie pomnożyć.

Zakończmy wreszcie już bilans. Ostatnie wypadki uwydatniły jeszcze bardziej naszą odwieczną rolę bastionu cywilizacji europejskiej, łacińskiej i katolickiej i naszą wagę jako jedynego naprawdę silnego państwa pomiędzy Rosją a Niemcami. Odpowiedzialność to olbrzymia i musi być przez nas podjęta. Naszych zadań nikt za nas nie zrobi i w nich leży nasza wielkość, to też w tem stwierdzeniu tkwi jeszcze jeden plus ostatnich tragicznych wydarzeń — plus ideowy, ale tem ważniejszy: — wszystkim już u nas otworzyły się oczy na istotne drogi naszej wielkości.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

POLSKA LEŻY W ŚRODKU ŚWIATA

PREMIER Chamberlain mówi w Izbie Gmin:

> Jak Izbie wiadomo, odbywają się obecnie z innymi rządami rokowania. Ażeby przedstawić całkowicie jasno stanowisko rządu brytyjskiego zanim te rokowania zostaną zakończone, postanowiłem poinformować Izbę, iż w czasie tego okresu w razie jakiejkolwiek bądź akcji, która wyraźnie zagrażałaby niepodległości Polski, i której wobec tego rząd polski uważałby za konieczne (vital) przeciwstawić się swymi narodowymi siłami, rząd brytyjski uważałby, iż jest zobowiązany do niezwłocznego okazania rządowi polskiemu całego poparcia, jakie będzie w jego mocy. Dałem rządowi polskiemu pod tym względem zapewnienia, mogę dodać, iż rząd francuski upoważnił mnie, by wyraźnie stwierdzić, że zajmuje takie samo stanowisko, jak i rząd brytyjski.

No i wogóle Polska na ustach całego świata. Przypomnieli sobie. Widzą w nas ostoję ładu, pokoju. Rozpływają się nad wartościami bojowemi armii. Zachwycają imponującym, męskim spokojem narodu, gotowego w każdej chwili do walki.

A do tej pory lubili tylko Czechosłowację, narodzoną w masońskim fartuszku. Doktrynerstwo i tu nie pozwalało spojrzeć trzeźwo na mapę Europy, ocenić (również trzeźwo) sytuację. Zajęcie przez Niemcy Czechosłowacji, niedotrzymanie danego przez Kanclerza III Rzeszy słowa w Monachium stały się dla świata wielką lekcją politycznego myślenia. Szkołą realizmu.

Bo Europę z powrotem należało uczyć polityki, od chwili, gdy zapanowały w niej iluzje pacyfistyczne, od chwili powstania instytucji Ligi Narodów. Nauka wprawdzie kosztowała wiele, bardzo nawet wiele, ale „lepiej późno, niż wcale"— mówi stare przysłowie. Słowa „wcale" nie należało się zresztą obawiać. Europa nie upadła już do tego stopnia, ażeby mogła pozwolić na pognębienie się bez walki, bez zbrojnego protestu. I tu metoda politycznego szantażu, stosowana do tej pory od czasu zajęcia Nadrenii, poczyna zawodzić, o ile wogóle nie leży już w historycznym lamusie. Trzecia Rzesza sądziła, iż uda się ją z powodzeniem dla siebie użyć w akcji mającej na celu odebranie utraconych na mocy Traktatu Wersalskiego kolonii. Obecnie sprawa ta jest mocno skomplikowana. Trzecia Rzesza nieco się przerachowała, a — trzeba to zaznaczyć—w politycznej kalkulacji kolonie miały znaczenie dla niej daleko większe w tej chwili, aniżeli aneksja Czechosłowacji. Nagromadzonej dynamice niemieckiej potrzebny jest szerszy, światowy oddech a gospodarstwu niemieckiemu: surowce oraz źródła zbytu. Tymczasem zaś zdobyto jeszcze jeden uprzemysłowiony kraj, poszukujący również rynku zbytu. Stawia to w sumie przed rządzącym w Niemczech aktywem politycznym duże trudności.

Jaki będzie dalszy bieg wypadków, trudno przewidzieć. Czasy obecne obfitują w fakty tak nieprawdopodobne, fantastyczne poprostu, że snucie jakichkolwiek horoskopów mija się z celem. Świat, którym kierują jednostki dyktatorskie, zawsze pełen jest niespodzianek. Grunt, być na wszelkie niespodzianki przygotowanym tak, ażeby i metoda zaskakiwania straciła na znaczeniu.

Trzecia Rzesza leży w środku Europy, ale Polska leży w środku świata. Na nas patrzą wszyscy, od naszej postawy zależy wszystko. W tym wypadku „wszyscy" i „wszystko" nie są jakimiś ogólnikami. To słowa pełne treści. Tego zresztą nie należy nawet tłómaczyć.

„POKAJANKI"

NIE MA to, jak widowisko ostrej krytyki dokonań *régime*'u, będących jego dumą największą!

Na trybunie senator Prystor. A treścią mowy? Generalny atak na system. Że niby niemożliwy, ale to zupełnie niemożliwy! Zapomniał senator Prystor co robił premier Prystor. W sumie — taka publiczna „pokajanka".

Na trybunie prof. Bartel. A treścią mowy? Niski poziom intelektualny absolwentów szkoły średniej. Główna przczyna? Reforma szkolnictwa średniego, dokonanie systemu, którego senator Bartel był jednym z głównych filarów. Nowa publiczna „pokajanka".

Senator Bartel wyrzeka na nadmierne opłaty nałożone na młodzież akademicką, która poprostu znajduje się w nędzy. A jaki to *régime* ustanowił te opłaty? Senator Bartel wreszcie strasznie się rozsierdził, mówiąc o metodach gwałtu politycznego, wprowadzonego do murów uczelni. A czyja to młodzież pierwsza uznała pałkę za argument w walce decydujący?

Posiało się wiatr — zebrało się burzę. Posiało się plewy — ziarno nie posypało. No, a teraz skargi, utyskiwania, gromy, dosadne słowa o ludzkiej polędwicy, malowanie kanibalistycznych obrazów.

Sejm obecny, mający za zadanie naczelne zmianę ordynacji wyborczej, nie kwapi się jakoś do wypełnienia zapewnień, dawanych przez „Ozon" w sloganie zręcznie ułożonym przez dowcipnego humorystę. Mamy wszelkie dane przypuszczać, że kadencja Izb będzie normalna, a więc — niejedno jeszcze słowo prawdy usłyszy *régime* od swych ludzi czołowych.

A my — posłuchamy.

NIEBEZPIECZNY PROJEKT

KOMISJA dyskusyjna ogłosiła projekt podkomisji prawa o stosnnkach pokrewieństwa i opieki. Między innemi podkomisja w art. 29 — 33 projektuje zrównanie praw dzieci nieślubnych z prawami dzieci urodzonych z małżeństwa. Przeciwko temu projektowi zareagowała w miesięczniku „Współczesna Myśl Prawnicza" młodsza generacja prawników katolików, twierdząc, że podobne zrównanie sprzeczne jest z Konkordatem zawartym ze Stolicą Apostolską.

Zareagowali też w „Gazecie Sądowej" i starsi prawnicy, sędziowie Sądu Najwyższego Ign. Baliński, St. Holewiński i R. Rakowiecki.

Słusznie zaznaczają oni, że rodzina jest podstawą życia społecznego, narodowego i państwowego. Rodzina jest pierwszą naturalną więzią, której celem jest zachowanie rodzaju ludzkiego, na wyższym zaś stopniu ewolucji społecznej: zachowanie i rozwój narodu i państwa, a to przez ciągłość przychodzenia na świat coraz to nowych pokoleń. Dla najpełniejszego i najlepszego osiągnięcia tego celu jest rzeczą konieczną, aby związek rodzinny był jak najbardziej trwały, a więc oparty na prawnym związku małżeńskim, gdyż tylko taki związek może zapewnić dzieciom trwałą naturalną opiekę ich rodziców, oraz ciągłość starań rodzicielskich nad wychowaniem i przygotowaniem do samodzielnego życia.

Pod tym względem zadania rodziców łączą się ściśle z szerszem zadaniem narodowem i państwowem: należytego wychowania młodego pokolenia, jako dobrych obywateli, miłujących swój kraj ojczysty i rodaków, stanowiących jakoby jedną wielką rodzinę, a przez tę miłość gotowych do największych poświęceń w jej obronie.

Trwałość związku rodzinnego wtedy tylko może istnieć, gdy małżeństwo zawierane jest na całe życie, a nadto, gdy prawo ułatwia i popiera jak najbardziej zawieranie takich właśnie małżeństw, nie popiera zaś rozejścia się i rozwodu małżonków oraz nie ułatwia związków luźnych, z natury swej nietrwałych między mężczyzną i kobietą.

Podobne zjawiska, jak omawiany projekt, można wytłumaczyć tylko tem, że istnieją u nas jeszcze pewne grupy inteligencji, niezdolne otrząsnąć się z wpływów ideologii masońskiej, uważającej, że interesy narodu należy poświęcić interesom ludzkości, zdolnej naprzykład łzy ronić nad niedolą mniejszości narodowej, chociaż ta mniejszość wyciąga soki i doprowadza do nędzy rdzenną ludność kraju, demoralizuje ją i sprawia, że ta rdzenna ludność musi emigrować, a mniejszość pozostaje na miejscu. Zdolna też jest wylewać łzy nad niedolą nieślubnych dzieci, a przez to podważać rodzinę stanowiącą fundament narodu i państwa, chociaż tych dzieci jest niewielki procent. Los ich dzięki chrześcijaństwu został już w znacznej mierze złagodzony i projekt prawa ich w dostatecznej mierze zabezpiecza, albowiem nietylko dopuszcza uprawnienie dziecka przez małżeństwo rodziców, ale też uznanie dziecka przez ojca, a także przez męża matki, rozszerza uprawnienie dziecka przez dozwolenie poszukiwania ojcostwa i przez ułatwienie przysposobienia własnych dzieci nieślubnych.

Szersza opinia powinna poprzeć żądanie prawników, skreślenia artykułów o zrównanie prawa dzieci nieślubnych z prawami urodzonych w małżeństwie, przez artykuły w prasie i na zebraniach publicznych.

GUSTAW ZABŁOCKI

PAMIĘCI DMOWSKIEGO

STUDIUM ZBIOROWE

UKAZAŁ się pierwszy zeszyt tegoroczny miesięcznika „Polityka Narodowa", wydawanego w Warszawie pod redakcją Zygmunta Berezowskiego. Zeszyt podwójnej objętości (str. 150) — za styczeń i luty — poświęcony został wyłącznie pamięci Romana Dmowskiego.

Na czele tego cennego tomu red. Berezowski zamieścił swoje studium historyczno-polityczne o Dmowskim, charakteryzujące wielką jego postać w związku z tłem epoki. Następuje potem Stanisława Kozickiego szkic historyczny o Dmowskim jako twórcy Ligi Narodowej. Zygmunt Wasilewski opisuje epizod z r. 1924, wyjaśniający okoliczności, w jakich powstało dzieło Dmowskiego „Polityka polska i odbudowanie państwa". Dmowski, biorąc udział jako świadek w wielkim procesie Lednickiego (1920 — 1024), przekonał się, że trzeba społeczeństwo oświecić, jak powstała Polska, — aby zapobiec dalszemu fałszowaniu historii.

Potem zamieścili rozprawy i przyczynki: Ignacy Chrzanowski *„Feci et salvavi patriam meam"*, Tadeusz Lehr-Spławiński „Dmowski i nauka", O. Bon. Podhorodecki „Wielki Polak i katolik", Tadeusz Bielecki „Dmowski — pisarz", Zdz. Wardejn „Dmowski wychowawca", Jędrzej Giertych „Poglądy Dm. na zagadnienie ukraińskie", St. Pigoń „O trzech zwycięstwach Dm.", Kaz. Woźnicki „Wspomnienia paryskie", G. „Dmowski w świetle nauki niemieckiej".

Cena tego zeszytu zł. 4. Nabywać można w adm. miesięcznika: Hoża 8 m. 7. Tel. 10.53-62.

HOŁD POLAKÓW W AMERYCE

W Chicago 25 lutego r. b. odbyła się uroczysta akademia żałobna ku czci ś. p. Romana Dmowskiego.

Na program uroczystości złożyły się: zagajenie p. A. Lamperskiego, przewodniczącego Komitetu i słowo wstępne p. Leona T. Walkowicza, vice-przewodniczącego tegoż Komitetu organizacyjnego, „Pieśń mnichów" w wykonaniu chóru, przemówienie p. Anny Neuman, b. vice-prezeski Polsk. Cent. Kom. Ratunk. i Wych. Nar. Polsk. i b. prezeski Zw. Polek, Deklaracja p. Cz. Michonia, prezesa Klubu Polsk. Stud. Szkoły *Foreman*, przemówienie Fr. Świetlika, cenzora Zw. Nar. Pol., „Módlmy się!" w wykonaniu chóru, deklamacja wiersza Konstantego Dobrzyńskiego „Pogrzeb Romana Dmowskiego" i na zakończenie odśpiewanie hymnu narodowego „Jeszcze Polska nie zginęła..."

Pozatem zebrani, w liczbie z górą dwóch tysięcy, uchwalili jednogłośnie znamienną rezolucję, której ustępy przytaczamy: „Nieśmiertelnym cieniom Wielkiego Nauczyciela Polski o wolność walczącej i Polski odrodzonej hołd najgłębszy składamy: przed wielkością Jego zasług niepożytych jako polityka i męża stanu, który przyszłość Polski opierał na prawie nieomylnej cnoty obywatelskiej, wysnutej z duchowej krynicy wieczyście młodego patriotyzmu narodowego — uchylamy nasze czoła; w chwili gdy sprzysięgają się moce samodzierżcze, ślubujemy, że nauka Jego będzie podstawą naszych działań obywatelskich i dążeń społecznych na dziedzinie polskości... Braciom naszym w Polsce, którzy ponieśli niepowetowaną stratę po śmierci ich Wodza, przesyłamy wyrazy najgłębszego współczuuia i niezłomnej

wiary, że wytrwają w walce — na wieczysty Narodu pożytek i na sławę nieśmiertelną Polski...

Cześć Jego pamięci i Jego zasłudze!"

Niech nam wolno też będzie przytoczyć charakterystyczne zdania z mowy p. L. T. Walkowicza: „Dmowski był nauczycielem i odrodzicielem ducha polskiego. Pracą całego żywota siał zbożny posiew myśli narodowej — która już w Polsce dzisiejszej, mimo szykany i przeszkody, zaczyna wyrastać na wspaniałą rzeczywistość. Albowiem nauka Dmowskiego była tak potężna i tak najistotniej polska, — że już przenika do umysłów nawet jego wrogów najzacieklejszych! ...Oto — dlaczego rola Dmowskiego w dziejach narodu nie skończy się nigdy. Oto — dlaczego dziś zebraliśmy się, aby złożyć hołd Jego świetlanej pamięci".

Opinie Polonii zagranicznej najdobitniej mówią o coraz pełniejszem dojrzewaniu polskiej świadomości narodowej nietylko w kraju ale i zagranicą.

Akademia została zorganizowana pod protektoratem mistrza I. J. Paderewskiego, do którego też prezydium wysłało w imieniu zebranych telegram okolicznościowy.

Podniosłą uroczystość urządziły 23 organizacje; w skład Komitetu Honorowego weszło 28 osób z najodleglejszych krańców Stanów, w czem samych księży — trzynastu. W skład Komitetu Wykonawczego weszło 49 osób spośród wszystkich warstw społecznych.

W niedzielę dn. 26 lutego o godz. 10.30 rano odbyło się za duszę ś. p. Romana Dmowskiego nabożeństwo żałobne w kościele św. Heleny. Celebrował ks. prob. P. Pyterek, kazanie wygłosił ks. prał. dr. Aleksander Syski.

W ślad za Chicago poszły już i inne osiedla polskie: w Buffalo, w N. Y., w Pittsburgu i w innych miastach, dając świadectwo swej jednomyślności wobec nieśmiertelnej postaci Twórcy odbudowy Państwa ś. p. Romana Dmowskiego.

POLSKA — JULIUSZOWI SŁOWACKIEMU

OGÓLNOPOLSKI Kom. Uczczenia J. Słowackiego w Krzemieńcu pisze między innemi w odezwie:

„Przed kilku laty złożono prochy Juliusza Słowackiego w podziemiach Wawelu, by z woli i uznania wolnej Polski „Królom był równy". Dnia 3 kwietnia 1939 roku upłynie 90 lat od zgonu Wieszcza. Niechbaj w rocznicę tę wolno będzie rodzinnemu miastu ponowić kult jego wielkości. Naród cały niechaj da moralną zgodę, by Polska tym razem w Krzemieńcu złożyła hołd tej wielkości.

Krzemieniec — to żywy dowód pracy polskich pokoleń, — to ogniwo polskiej kultury, rzucone na rubieże. Ileż wspomnień, mówiących o polskiej tu pracy, o polskich zasługach. Czacki, Kołłątaj — a Januszewscy, a Słowaccy.

Wolna Polska wraca Krzemieńcowi stanowisko, zdobyte w tradycji, otwiera mury sławnej uczelni Liceum Krzemienieckiego, by znowu była dobrym opiekunem polskości na kresach.

Dzisiejszy Krzemieniec nie zadowalnia się dumną spuścizną; do jej chwały i dorobku przydaje nowe wartości. Jego widomym znakiem to nietylko Liceum Krzemienieckie, ale również Krzemieniec — jako już w Polsce znany i uznany ośrodek muzyczny i malarski.

Krzemieniec, miasto zabytków i pięknych tradycyj — kresowy pionier polskich zmagań, — przygotowuje się do uczczenia swego Wielkiego Syna i wzywa cały Naród, by w czci tej złączył się przed Duchem Tego, który niedługie lata swego życia cierpieniem znaczył, Narodowi drogę wielkości wymierzał, piękna najcudniejszym był wyrazicielem. Słowacki w Krzemieńcu pierwsze zbierał ziarna na żniwo swego życia, do Krzemieńca tęsknoty swoje zwracał z nieukojonej po świecie wędrówki, tu najlepszej Matce miłość synowską składał i dozgonnie dochował.

Rodzinne miasto Poety przygotowuje się do uczczenia największego Krzemieńczanina i dumę swą głosi, że jest On własnością całego Narodu. Radość swą głosi, że z Narodem pospołu przeżyje wielkie dni wrześniowe.

W tych dniach odbędzie uroczyste zebranie w Krzemieńcu Polska Akademia Literatury, wygłoszą prelekcje profesorowie Uniwersytetu, hołd złoży społeczeństwo i młodzież. Dniom tym patronować będzie Majestat Rzeczypospolitej.

Ogólnopolski Komitet w Krzemieńcu postanowił wznieść trwały pomnik hołdu przez wykupienie domu, w którym mieszkał Juliusz Słowacki, i założenie tam Muzeum pamiątek po Nim oraz przez wybudowanie Domu Sztuki i Kultury, który pozwoli Krzemieńcowi wzmocnić swój udział w doskonaleniu i pogłębianiu kultury artystycznej Polski. Zamierzenia te muszą być ambicją Wołynia i całej Rzeczypospolitej, jak całemu Narodowi droga jest pamięć nieśmiertelnego Wieszcza. Gdy miasto Poety zdobyć się musi na najwyższy wysiłek, — Komitet ma prawo odwołać się do instytucyj, organizacyj i ludzi dobrej woli całej Polski o składanie na ten cel ofiar. Adres: PKO Lwów 512.460".

Z SALI ODCZYTOWEJ

„FARAON" B. PRUSA

W LOKALU TNSW odbył się odczyt prof. Z. Szweykowskiego, wybitnego znawcy powieści z doby pozytywizmu, na temat „Faraona" (1895) Bolesława Prusa.

— W systemie społecznym, jaki wypracował w swych dziełach Prus, wytworzył się z czasem łańcuch odrębnych kategoryj coraz wyższego rzędu: władza — rząd — państwo. Społeczeństwo wogóle nie może się rozwijać poza państwem. Stąd zainteresowania polityczne nietylko są ważną częścią życia wewnętrznego ale i nakazem poprostu w stosunku do jednostki ludzkiej, będącej jak wiadomo „*ζ'oon politikon*". W r. 1898 Prus będzie pisał — naród musi mieć nietylko kupców, przemysłowców, rzemieślników, artystów, nauczycieli, kapłanów, filozofów i myślicieli — ale i żołnierzy i polityków.

„W „Najogólniejszych ideałach życiowych" stwierdza, iż człowiek składa się z duszy i z ciała. Całość przypomina pałac, zbudowany z korpusu (myśl) i dwóch skrzydeł: uczucia i woli. Najróżniejsze kombinacje tych pierwiastków, z przewagą jednego na niekorzyść pozostałych, stwarzają poszczególne zasadnicze typy ludzkie, wyhodowane przez społeczność.

Następujące ideały przyświecają ludziom: doskonałość, użyteczność i szczęście. W duszy Polaka, szczególnie inteligenta, włada uczucie i przyświeca ideał szczęścia. Z tej kombinacji rodzi się w praktyce wzór użycia. Prus zaleca następującą kolejność: użyteczność, doskonałość, na końcu dopiero szczęście. W praktyce życiowej oznacza to przedewszystkiem pracę. Inna rzecz, że często w duszy jednostki rodzi się konflikt między obowiązkiem użyteczności a prawem do szczęścia osobistego.

Artystycznie w owym okresie, poprzedzającym „Faraona", wykracza Prus poza realizm: zarówno głębią myśli jak i oryginalnością fantazji. Dzielnością tej ostatniej potrafi rekonstruować odległe nawet dzieje. I tak, czucia narodowe kształcą się w kontakcie z ludzkością. Ambicją artystyczną staje się — pokazać narodowe w ogólnoludzkich zadaniach sztuki.

Pasjonuje w tym czasie Prusa-artystę Egipt, kolebka najstarszej cywilizacji, wyrosłej w zgodzie z naturą i w posłuszeństwie jej nakazom, kolebka nauki, żywe świadectwo prawdy, iż myśl jest władzą człowieka... Przytem wysoki poziom techniki i organizacji społecznej... Wielka armia robotnicza, powodowana jednokierunkową wolą... Faraon,

kapłani i lud — wola i doskonałość, praca, użyteczność i szczęście.

Zepsucie przychodzi dość późno: góruje ideał szczęścia, rządzi uczucie, — co w następstwie rodzi użycie. Zmniejsza się ludność, powstaje ucisk społeczny, nadchodzi zniszczenie wojenne i zanieczyszczenie rasowe. Potem już panują: powszechne zepsucie obyczajów i zanik mądrości i energii u faraonów i kapłanów. Prus uchwycił ten moment chylenia się państwa.

Zupełną osobliwością dla tego okresu literatury i wyjątkowości ówczesnych warunków jest postawienie przez autora zagadnienia państwa w pełnym jego splendorze. Świadczy to o całkowitej, mimo zewnętrzne więzy, niezależności psychiki twórczej, myślącej kategoriami całkowitego, o nieprzerwanym bycie państwa polskiego. Tak tylko potrafili myśleć: Dmowski i Wyspiański.

Tematem powieści jest walka kapłanów z faraonem o władzę nad państwem. Prus jest w zasadzie przeciwny postawieniu u władzy ludzi wiedzy, — choć ukazane trzy postaci z kasty kapłańskiej świadczą o dużej jeszcze sile wewnętrznej tego stanu. Patrząc na nie, myślimy zresztą— to zenit. Te trzy postaci odpowiadają tabeli z „Najogólniejszych ideałów życiowych": Menes (mędrzec), Pentuer (apostoł) i Samentu (prawodawca).

W odmalowanej epoce zanika już naukowa bezinteresowność badawcza, pielęgnowana przez kapłanów: Herhor i Mefres żywią wyłącznie ambicje zagarnięcia dla siebie całego Egiptu, nie dbając wcale o użyteczność.

Następca tronu, późniejszy władca, Ramzes XIII, to — wola i uczucie (razem dyspozycja bohaterska), ale i pewna przewaga uczucia w kierunku niebezpiecznej wrażliwości zmysłowej. Myśl zato nie dominuje, nie jest nawet twórczą siłą. Myśl powinni Ramzesowi zaofiarować kapłani. Cóż, kiedy oni z nim walczą w celach egoistycznych, kastowych. Ramzes nie dotrzymuje im kroku w walce mózgów, załamuje się. Między innemi dlatego, iż odwrócił naturalną kolejność i hierarchię ideałów: zamiast przez użyteczność do doskonałości i na końcu do szczęścia, poszedł zdradliwą ścieżką szczęścia osobistego ku doskonałości, nareszcie zdążał dopiero do użyteczności. Jeśli działał zbawiennie dla dobra ogólnego, to dlatego, że mu to sprawiało satysfakcję, — bo taka była jego fantazja.

Kapłanom szło nie o władzę mądrości ale o władzę egoistycznego panowania. Jednak i Ramzes zawinił — nie wolno lekceważyć praw natury: wiedzy i użyteczności. Toć jego przyjaciel, mędrzec Menes zadał mu cios morderczy (wykorzystana przez kapłanów, przepowiednia zaćmienia słońca). Ramzes był człowiekiem wojny i ją stawiał na pierwszem miejscu swych zainteresowań. Tu zderzył się z kapłanami, którzy byli przeciwni wojnom, w jakie wciągała Egipt polityka młodego faraona. Według Prusa słuszność miał ten ostatni.

Za kapłanami stoi Beroes, mądry i szlachetny, mający w cenie tylko wiedzę, nie troszczący się przecież, w przeciwieństwie do Ramzesa XIII-go, o aktualną politykę Egiptu. Oto, jak wiedza oderwana od życia staje się szkodliwą spekulacją — twierdzi Prus. Gdyby przecież kapłani podali rękę młodemu swemu panu, Egipt zajaśniałby nowym blaskiem.

W niedrukowanym za życia autora epilogu powieści wiele się jeszcze wyjaśnia. Osią wewnętrznej kompozycji jest tragedia człowieka w niewłaściwej epoce, jak w „Lalce" (ale *non omnis moriar*). Herhor przecież nie wyjdzie poza program swego poprzednika. Wysiłek serca i woli Ramzesa nie pójdzie więc na marne.

Jakiż cel tak rozumianego życia? A jednak badanie porządkuje ten pozorny chaos. Rozstrzyga tu postawa mędrca wobec rzekomego bezsensu faktów. Dla uzyskania jasnych zupełnie perspektyw trzeba tylko bardziej zagłębić się w plątaninę zjawisk.

Wszystko już, co nam się wydaje nowością, było w tamtych, starych cywilizacjach — pisał Prus w jednej z Kronik. Dlaczego te upadły?.. Te miasta większe od Londynu? J a k n a i r o n i ę, z o s t a l i t y l k o ż y d z i (podkreśl. moje). Te historiozoficzne pytania nie wyczerpują rozważań, pełnych i metafizycznych perspektyw (Sfinks, modlitwa Psujaczka).

„Faraon" zajmuje poczesne miejsce nietylko w polskiej ale i w europejskiej literaturze. Decydują o tem: jego egzotyczny koloryt, misterium nauki i religii, pojęcie człowieka-istoty pełnej sprzeczności, jak wzniosłość i niskość; wreszcie tajemniczość nieznanych bliżej mocy wewnętrznych.

Uczonego prelegenta liczni słuchacze nagrodzili hucznemi oklaskami.

St. J.

P O K Ł O S I E

PACYFIZM PRZEPŁOSZONY

Dni ostatnie zbyt często posługiwały się formułą: „W imię pokoju światowego..." Użycie tej formuły miało usprawiedliwiać każdy czyn, choćby nawet najpodlejszy, jak podpisanie wyroku śmierci na największe na ziemi dobro, darowane człowiekowi przez Boga — ojczyznę. Świat doszedł do szczytu pacyfistycznego „ideału". Dalej już iść nie sposób. I rzeczywiście, pewnego poranka stare rycerskie instynkty odezwały się — wszyscy wyrazili gotowość walki. Najbardziej zdumiały się „brunatne" Niemcy. Zdumiały i przelękły. Przykra niespodzianka, no i mus poniechania metody politycznego szantażu. A tu problem kolonialny jeszcze nie załatwiony...

Nie twierdzimy, że czas już na podzwonne pacyfizmowi, ale można się mu przyjrzeć, spróbować go zanalizować.

Pacyfizm ostatni wielorakie miał źródła i niejednakowy charakter. Niemcy po roku 1918-tym stały się pacyfistyczne poprostu dlatego, że przegrały na polu bitwy. Można rzeczywiście znienawidzieć wojnę, jeśli w rezultacie przyniosła klęskę i upokorzenie. Najbardziej charakterystyczne dla rodzaju niemieckiego pacyfizmu były wynurzenia jednego z pisarzy, który, opisując swe przeżycia na froncie, począł kląć wojnę na widok cofającej się armii. Pacyfizm tego rodzaju musiał się kiedyś przerodzić w chęć walki. Żal zrodził nienawiść, nienawiść żądzę odwetu.

Inny gatunek przedstawiał pacyfizm amerykański, którego „apostołem" stał się Woodrow Wilson. Zrodzony w purytańskim poglądzie na życie, był, w gruncie rzeczy, odmianą *sui generis* jaroszostwa. Wilson, zapewniający tonem sekciarza recytującego psalmy, iż wojny nie będzie, aż rozbrajał naiwnością. Był to jedyny efekt idei rozbrojenia. Dość skromny.

Aż nam się dzisiaj wierzyć nie chce, że kazania owe znajdowały posłuch, że potrafiły one uwieść świat do tyla, że ten ze swej szkatuły sowicie począł opłacać spore konta „świątyni pokoju" noszącej miano Ligi Narodów. Ale przecież kiedyś, przed stu piędziesięciu laty potrafił uwieść świat równie naiwnemi obrazami sielskości genialny perwenjusz Rousseau. Nie upłynie jeszcze sto pięćdziesiąt lat, gdy wilsonowy pacyfizm będziemy traktowali z podobnem pobłażaniem jak teorie nawrotu do natury.

Trzeba tu zaznaczyć, że ten rodzaj pacyfizmu, o którym właśnie mowa, ma swoje źródło, mętne źródło w czasach renesansu nagminnego szerzenia się odszczepieństwa. „Z Włoch i z Czech, płynie do nas w pierwszej połowie wieku XVI ten bezwzględny wstręt do rozlewu krwi równocześnie z teorią, iż etykę oprzeć należy na „szczyrem Piśmie Świętem" a pismo to wykładać poprostu i dosłownie" — pisze w swej świetnej rozprawie prof. Stanisław Estreicher. A więc z Czech... Poczynamy teraz rozumieć formułkę Hachów i Chwalkovskich „W imię pokoju światowego..." Po-

prostu wierność tradycji narodowej. Pobłażanie pobłażaniem, ale tego rodzaju pacyfistom, biorącym początek swój w „mrocznym renesansie" (teraz renesans wydaje się nam mrocznym, nie średniowiecze) należy szczególnie bystro patrzeć na ręce. No i czasami dać po tych rękach. Mocno. Żeby zabolało.

Trzeciego wreszcie rodzaju pacyfizm jest dość świeżego stempla, aczkolwiek bliski to krewny owego purytańskiego. Gdybyśmy tak poczęli doszukiwać się szczegółów pochodzenia, znaleźlibyśmy je powieszone na jednem drzewie (niestety, tylko genealogicznem...). Trzeci ów rodzaj pacyfizmu to pacyfizm oparty o materialistyczny pogląd na świat. Nie jest i on pozbawiony naiwnych akcentów, przeciwnie — obfituje w nie bardzo nawet. Panowie wyznający go twierdzą, iż światem rządzi węgiel, bawełna czy ropa naftowa („Nafta rządzi światem", „Twoja jest krew, a ich jest nafta"... i t. p.), no — a przedewszystkiem przemysł zbrojeniowy. Naiwne przypowieści tłomaczą tu, że taki potentat finansowy, szczególnie „handlarz śmierci" posiada cały mocno skomplikowany mechanizm, który poczyna działać, gdy jest zastój w interesie. A więc wpływ decydujący na wielkie prasowe koncerny, które w odpowiednim momencie poczynają działać na opinię, docierają do sztabów gabinetów ministerialnych, no i konflikt zbrojny gotowy. Dwóch przysięgłych pacyfistów Engelbrecht i Hanighen w swej książce (w Polsce oczywiście wydał Przeworski) takie oto np. rysuje obrazy:

> „Pan Schneider jest czemś więcej, niż tylko prezesem Creusot — jest on duszą i motorem innego wielkiego trustu, stalowego *Comité des Forges*, który posiada przez jednego ze swych urzędników, większą część udziałów paryskich dzienników: „*Le Temps*", odpowiadającego dziennikowi „*The New York Times*" i „*Journal des Débats*", odpowiednika „*New York Heralda*". Obydwa potężne dzienniki stale ostrzegają swych czytelników przed „niebezpieczeństwem rozbrojenia" i zagrożeniem ze strony niemieckiej. W ten sposób Schneider może pociągać za dwa sznurki — jeden przywiązany do Hitlera i militaryzmu niemieckiego, drugi poruszający prasą francuską i militaryzmem francuskim".

Ostrzegały i ostrzegały przed „niebezpieczeństwem rozbrojenia" i zagrożeniem ze strony niemieckiej, a to — według Engelbrechta i Hanighena — była bujda, tylko... pewnego dnia okazała się prawdą. Aż jaskrawą w swej wymowie.

Trudno zaprzeczyć, że wielkie koncerny przemysłu zbrojeniowego nie czynią wysiłków celem zapewnienia sobie wpływów, ale znowu owa skomplikowane maszyna poruszana przez p. Creusot za pomocą dwóch sznurków mocno przypomina robinsonowe karykatury maszyn.

Naiwnie materialistyczny pogląd na istotę wojny znalazł swój wyraz w zapomnianym dziś wierszu Tuwima, którego słów parę wyżej zacytowałem. Pełen wyraz materialistycznego poglądu na istotę wojny dał też Słonimski w wierszu, który mówi, iż nie warto poświęcać młodego życia dla takiego np. cudu katedry. Młode życie i wogóle życie jest wszystkiem, celem pierwszym i ostatecznym. Stąd też zapewne prosty chociaż nieoczekiwany wniosek: Niech żyje wojna z państwami totalnemi w obronie demokracji, liberalizmu, pacyfizmu, humanitaryzmu i t. d.

Dziwne? Na pozór. Taki wręcz nieoczekiwany, nazwijmy go po imieniu — paradoksalny wniosek zawsze bywa wynikiem upartej walki doktrynerstwa z życiem. Doktryna pacyfizmu „wzięła w łeb" — mówiąc językiem rubasznym, ale powiemy pacyfistom na pociechę, że nie ona jedna. Doktrynerstwo narodowo-socjalistyczne w Niemczech twierdziło, że do wojny zdolne są tylko państwa totalne. Szydzono z rozkładu duchowego Francji i Anglii. Aż tu nagle! Czyżby „demokracje" były zdolne do walki? Nie, nie demokracje, — ale narody. Wielkie historyczne narody. Wielkie historyczne narody, które i bez nauki militaryzmu potrafią się bić i to bić dobrze. Młode politycznie narody, jak Włochy i Niemcy muszą przejść szkołę jedności państwowej, my: Polska, Francja czy Anglia i bez niej posiadamy silne państwowe instynkty. Pamiętajmy, że co we Włoszech zrobił dopiero lat temu kilkadziesiąt Garibaldi, a w Niemczech również lat temu kilkadziesiąt Bismarck, u nas to uczynił lat temu kilkaset, w średniowieczu jeszcze Władysław Łokietek.

Powróćmy jednak *ad rem*. Stwierdzamy: pacyfizm został nagle przepłoszony. Zniknął. Nie ma go. Walka wypowiedziana mu i przez nacjonalizm niemiecki wydała dla nacjonalizmu tego wcale nieoczekiwane, kłopotliwe rezultaty.

My chyba najmniej z tego powodu będziemy się martwić...

J. Ba.

Z Komisariatu Rządu na m. st. Warszawę otrzymaliśmy pismo następujące:

Warszawa, 21 marca 1939 r.

ZARZĄDZENIE ZAJĘCIA DRUKU

Komisariat Rządu na m. st. Warszawę na podstawie art. 52 p. Prawa prasowego z dn. 21.XI 38 r. (Dz. U. R. P. Nr. 89, poz. 608) zarządza zajęcie czasopisma w języku polskim p. t. „Myśl Narodowa" Nr. 14 z dnia 2.4 1939 r., albowiem art. p. t. „Zesłanie publicysty do Berezy" zawiera cechy przestępstw przewidzianych w art. 170 K.K. i art. 11 Dekretu o ochronie niektórych interesów Państwa z dnia 22.XI 38 r.

Od niniejszego zarządzenia może zainteresowany wnieść zażalenie do Komisariatu Rządu na m. st. Warszawę w terminie zawitym, siedmiodniowym od doręczenia niniejszego zarządzenia.

Za Komisarza Rządu kierownik Oddziału

J. Jędrzejewicz.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.